Nr. 225. Lwów — Wtorek dnia 3 Października. Rok 1899.

Wychodzi w dni powszednie, o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 1 złr. 10 ct. w Niemczech . . . . 1 „ 50 „ w innych Państwach . 2 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 20 „ (opłatę należy nadesłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu). Prenumerata we Lwowie miesięcznie 1 zł. Numer bieżący we Lwowie . . 4 ct. na prowincyi . . . . 5 ct. Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy gości i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, ogłoszenia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 50 ct. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Schulzowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct. W drobnych ogłoszeniach tłustym petitem za każde słowo 2 ct. tłustym garmondem „ 3 ct. koresp. prywatne „ „ 4 ct. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . . 30 ct. Reklamy po kronice wiersz petit. 50 ct. Ogłoszenia nad przeglądem politycznym na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 80 ct.

Dziś: św. Kandyda M. — Kodrata | Jutro: św. Franciszka Ser. — Foky M. | Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.* | Wschód słońca o g. 6 m. 8, Zachód „ „ 5 m. 28 | Długość dnia godzin 11 m. 20, Ubyło dnia od wczoraj 4 m.

Hrabia Manfred Clary-Aldringen.

Piszą nam z Wiednia, 30 września:

Po każdej wojnie do Cieplic zdążają tłumy oficerów, aby w tamtejszych gorących źródłach, znanych już za czasów rzymskich, wyleczyć zdruzgotane w bitwach kości. Po dwuletniej srogiej wojnie obstrukcyjnej polityczna woda cieplicka ma zagoić blizny państwa.

Na początku 17-go stulecia Cieplice, które przedtem często zmieniały właściciela, należały do hr. Wilhelma Kińskiego. Jako pośrednik dyplomatyczny pomiędzy swym szwagrem Wallensteinem, a ambasadorem francuskim w Dreźnie p. de Feuquières, hr. Kiński znacznie się przyczynił do przechylenia się Wallensteina na stronę Szwedów. W pamiętnej nocy 25 lutego r. 1634 z kilku jenerałami został zamordowany na zamku w pobliżu Chebu, gdy równocześnie Wallenstein padł pod dzidami dragonów Buttlera w ratuszu. Skonfiskowany cieplicki majątek Kińskiego cesarz Ferdynand darował hetmanowi polnemu Janowi Aldringen.

Urodzony r. 1588 w Alzacyi, Jan Aldringen służył za młodu w wojsku hiszpańskiem, od r. 1618 w wojsku cesarskiem. W r. 1625 odznaczył się w kampanii przeciwko Mannsfeldowi i otrzymał tytuł barona. W r. 1630 zdobywa dla cesarza Mantuę. Po śmierci Tillego mianowany naczelnym wodzem wojsk ligi katolickiej i obdarzony tytułem hrabiego, stacza liczne potyczki z Szwedami. Po katastrofie Wallensteina, obdarzony tytułem hetmana polnego, staje na czele wojsk cesarskich, ale już w kilka miesięcy potem, 25 lipca 1634 r., ginie w bitwie pod Landshutem. Majątek cieplicki przechodzi na jego siostrę Annę, żonę Hieronima Clarego.

Protoplasta tego rodu Bernard de Clary czy też Clario, opuściwszy Florencyę z powodu zamieszek stronniczych, w r. 1363 od cesarza Karola IV-go otrzymał indigenat w Rivie w Tyrolu. Jeden z jego potomków Franciszek w r. 1623 nabył znaczne dobra w Czechach i w dwa lata potem otrzymał od cesarza tytuł barona. Syn jego, Hieronim, ożeniony z Anną Aldringen, odziedziczył po szwagrze wielki majątek cieplicki i w r. 1661 otrzymał tytuł hrabiowski z przydomkiem Clary-Aldringen. Prawnuk jego Franciszek Wacław w r. 1767 otrzymał tytuł księcia.

Majorat tego rodu obejmuje: Cieplice (88 kilom. kwadr.) z wspaniałym pałacem i ogrodem (rozwaliska dawnego pałacu cieplickiego znajdują się na wzgórzu zamkowem o pół mili za miastem), miasteczko Graupen (25 kilm. kwadr.) i Binsdorf (68 kilm. kwadr.) W Wiedniu przy Herrengasse w pobliżu pałacu prezydyum gabinetu, stoi starożytny, trochę zaniedbany zewnątrz pałacyk książąt Clary, którzy także posiadają pałac w Wenecyi.

Ojciec nowego prezesa gabinetu ks. Edmund, ożeniony z córką znanego z r. 1848 chwilowego prezesa gabinetu, a dyplomaty z zawodu hr. Ficquelmonta, w r. 1861 jako dziedziczny członek wstąpił do Izby panów, w sejmie czeskim zasiadał jako poseł liberalnej partyi wielkich właścicieli. W ostatnich jednak latach rządów Taaffego ks. Clary zbliżył się do prawicy, w otwartym liście zalecał nawet koronacyę Cesarza królem Czech, byle to nie pociągnęło za sobą zmiany w stosunkach prawnopolitycznych. Siostra jego wyszła za znanego jenerała włoskiego, ambasadora w Wiedniu, w końcu prezesa gabinetu włoskiego śp. hr. Robilanta. Ks. Edmund umarł 21 czerwca 1894 r.

Jako dziedzic majoratu, najstarszy syn jego ks. Karol, urodzony 1844, ożeniony z Radziwiłłówną, zasiada w Izbie panów. Książę Karol jest gorliwym katolikiem i piastuje godność prezydenta Stowarzyszenia archanioła Michała. Młodsi jego bracia, Siegfried, od czerwca 1897 poseł austryacko-węgierski w Stuttgardzie, i Manfred, noszą tytuł hrabiów Clary-Aldringen.

* * *

Hr. Manfred urodził się 30 maja r. 1852. Ukończywszy studya prawnicze, wstąpił do służby państwowej w namiestnictwie wiedeńskiem W r. 1883 został komisarzem powiatowym w Wiener Neustadt potem był wicesekretarzem w ministeryum spraw wewnętrznych, naczelnikiem powiatowym w Wiener Neustadt, w r. 1895 radcą namiestnictwa w Celowcu. W r. 1896 został prezydentem Szląska, 1 grudnia r. 1898 namiestnikiem Styryi. Wskutek wzmagającego się tam ruchu niemiecko-narodowego, zatargów z wojskiem, szorstkich występów Rady miejskiej i przeważających w sejmie krajowym prądów opozycyjnych, stanowisko namiestnika Styryi było tak trudnem, że sprzykrzył je sobie nawet tak doświadczony i zręczny urzędnik, jak b. minister margrabia Bacquehem. Jednakże hr. Clary, nie kompromitując powagi władzy, której był reprezentantem, umiał zjednać sobie w Styryi uznanie wszystkich stronnictw, nawet niemiecko-narodowego. W sejmie przemawiał kilkakrotnie. Mianowicie 28-go kwietnia r. b. w rozprawach nad wnioskiem, dotyczącym protestu przeciwko zbyt systematycznemu używaniu §. 14 go, hr. Clary wygłosił mowę, niejako programową, na którą wtedy zwracałem uwagę.

Hr. Clary zakończył ową mowę temi słowy: „W uzasadnieniu wniosku wypowiedziano także życzenie pogodzenia się ludu niemieckiego z władzą państwową. Niezawodnie wszyscy żywimy to życzenie. Ale, panowie, do takiego pogodzenia się powinny przyczynić się stronnictwa opozycyjne. Powinny nareszcie zdecydować się wejść z innemi stronnictwami w rokowania, przy czem niezainteresowani bezpośrednio w najbardziej palących zatargach narodowościowych nie powinni przeszkadzać. Gdzie istnieją przeciwieństwa, jedynie przez dyskusyę można odszukać drogę, prowadzącą do zgody. Oby się udało znaleźć na tej drodze ową formułkę, do której oddawna tęskni każdy patryota austryacki, która zaspokaja rzeczywiste potrzeby wszystkich narodowości całego państwa, — ową formułkę zbawczą, która naszą ukochaną ojczyznę wyswobodzi z samobójczej walki, zużywającej najlepsze siły, ową formułkę, która ma przywrócić spokój wewnętrzny, a z nim wszelką siłę i dobrobyt“.

Patos tej krasomówczej konkluzyi przekraczał ramy zwykłych, rzeczowych deklamacyj namiestników w sejmach. Zresztą osoby, które miały sposobność zbliżyć się do hr. Clarego, zapewniają, że nie tylko ujmuje uprzejmością, różny w tym względzie od trochę sztywnego hr. Thuna, lecz także, pominąwszy rutynę urzędniczą, rozporządza bogatym zapasem zdolności dyplomatycznych. Są tacy, którzy w nim widzą drugiego Taaffego, który także swój głośny zawód rozpoczął w epizodycznej roli ministra w gabinecie Beusta po upadku Belerediego.

Opowiadają, że gdy po śmierci ks. Edmunda syn jego ks. Karol cofnął roczną subwencyę 300 zł., wypłacaną przez ojca niemieckiemu stowarzyszeniu szkolnemu (Schulverein), hr. Manfred niebawem uwiadomił dyrekcyę tego stowarzyszenia, że z własnej kieszeni płacić będzie nadal tę subwencyę. Jeżeli to prawda, natenczas przyczyni się to do udobruchania opozycyi niemieckiej wobec nowego gabinetu.

Względem Polaków, hr. Manfred Clary, tak samo jak ojciec jego i brat, nie tylko ożeniony z Polką, ale serdecznie zaprzyjaźniony z różnymi wybitnymi rodakami naszymi, pomiędzy innymi z ś. p. hr. Konstantym Przeździeckim, żywi najprzyjaźniejsze uczucia i zamiary. W tym względzie, o ile to zależy od osobistych przekonań, dostarcza on nam wszelkich rękojmi. Zresztą rozumie się samo przez się, że gabinet hr. Clarego nie został utworzony w nieprzyjaznych zamysłach przeciwko żadnemu narodowi monarchii, a najmniej przeciwko polskiemu.

Sytuacya.

Piszą nam z Wiednia 1 października:

Wbrew stanowczym zapowiedziom, *Wiener Zeitung* nie ogłosiła dzisiaj dekretów, dotyczących zmiany gabinetu. Nie ulega wątpliwości, że hr. Clary stanie na czele nowego gabinetu, ale podobno przy rozdaniu tek po różnych stronach doznał odmowy. Wobec faktu, że dzienniki demonstratywnie podnoszą epizodyczny charakter gabinetu, a nawet wyraźnie ograniczają jego trwanie do mniej więcej trzech miesięcy, nie zadziwiałoby wcale, gdyby ten lub ów wybitny urzędnik wzbraniał się przyjąć teki. Nie każda ambicya zadawalnia się biletem wizytowym z przypiskiem „Minister a. D.“ (ausser Dienst). Być jednak może, że ogłoszenie nominacyi nowego gabinetu opóźnia się głównie dlatego, ponieważ trzeba opracować różne rozporządzenia, które się mają ukazać równocześnie, mianowicie rozporządzenie, znoszące ordonanse hr. Badeniego i bar. Gautscha w kwestyi językowej Czech, tudzież przywracające status quo ante, dalej rozporządzenie, dotyczące zwołania Rady państwa, a może także indemnizacyi za przeprowadzone podczas długich wakacyi parlamentarnych za pomocą § 14 go rzeczy. Co mianowicie dotyczy zwołania Rady państwa, to w każdym razie będzie trzeba urzędownie zamknąć dawną sesyę i rozpocząć nową. W przeciwnym bowiem razie sesya zimowa rozpoczęłaby się od dalszej dyskusyi nad wnioskami — oskarżenia ministrów! Otwarcie nowej sesyi sprowadza konieczność wyboru nowego prezydyum Izby. Ale ta kwestya nie może sprawiać żadnych trudności. Wprawdzie wypadałoby, aby większość przy wyborze prezydyum uwzględniła znaczną mniejszość lewicy. Za tem przemawia kurtuazya i najlepsza tradycya parlamentarna. Takiego uwzględnienia mniejszości życzył też sobie hr. Badeni na początku nowej kadencyi r. 1897-go. Zważywszy jednak, że lewica nie reklamuje żadnego miejsca w prezydyum, wybór jego nie może przysporzyć żadnych trudności.

Z izby sądowej.

(Proces Kasy oszczędności.)

Lwów, 2 października.

Rozprawa rozpoczęła się o godz. 11 rano. Przewodniczy jej radca Oleński, jako wotanci zasiadają radcy Gołkowski, Lekczyński i Cetnarski. Oskarża prokurator Heyderer.

Jako oskarżeni zasiadają: 1) Eugeniusz Wędrychowski, rodem ze Lwowa, lat 59, żonaty, były naczelny buchalter Kasy oszczędności, obwiniony o oszustwo, popełnione przez fałszowanie bilansów, książek i rachunków Kasy oszczędności, bądź to w porozumieniu z byłym dyrektorem tej Kasy Franciszkiem Zimą bądź na własną rękę, oraz przez to, że w r. 1892 wyłudził od Zimy papiery wartościowe w kwocie 32 000 zł., służące na podkład swego rachunku, pod pozorem, że je sprzeda, a gotówkę zwróci, czego jednak nie uczynił; 2) Stanisław Szczepanowski, rodem z Kościan w W. Ks. Poznańskiem, lat 52, żonaty, inżynier, obwiniony o współwinę w zbrodni oszustwa, popełnioną przez to, że namawiał Zimę do fałszowania niektórych ksiąg i rachunków Kasy oszczędności; 3) Franciszek Karpiński, lat 34, żonaty, przedsiębiorca murarski, pod zarzutem zbrodni oszustwa, której się miał dopuścić nakłaniając Zimę do szalbierczego i rozrzutnego udzielania kredytu. Nadto oskarżony jest Karpiński o występek lichwy, popełniony przez wyzyskiwanie osób, potrzebujących chwilowo kredytu; 4) Marya Stefania Fuhrmann, lat 34 stanu wolnego, obwiniona o zbrodnię złożenia rozmyślnie fałszywego świadectwa w sprawie Zimy podczas przesłuchiwania jej przez sędziego śledczego. Wszyscy oskarżeni siedzą na krzesłach; przed sobą mają stoliki.

Do rozprawy powołano 60 świadków, nadto będzie odczytanych mnóstwo innych zeznań, orzeczeń i rozmaitych dokumentów.

Szczepanowskiego broni dr. Grek, Wędrychowskiego dr. Aszkenaze, Karpińskiego dr. Solański, Fuhrmannową dr. Lisiewicz. Jako sędziowie przysięgli wylosowani zostali pp.: Jan Quest kupiec, Lörner Süssman notaryusz, Tadeusz Sokulski snycerz, Stanisław Platowski krawiec, Roman Lipiński urzędnik Banku hipotecznego, Ignacy Smalawski rządzca dóbr, dr. Fryderyk Fruchtman lekarz, Stanisław Bogdanowicz właściciel dóbr, Ignacy Chylewicz inżynier, dr. Tadeusz Gorecki adwokat, Edmund Bieliński urzędnik Towarzystwa kredytowego ziemskiego, Nuchim Reiss właściciel dóbr; zastępcami są: Rudolf Simon urzędnik Banku hipotecznego i Zygmunt Leski kominiarz.

Jako rzeczoznawcy zasiadają pp. Koczyndyk i Kreyser, obok nich zajął miejsce adwokat dr. Paweł Dąbrowski syndyk Kasy oszczędności.

Przewodniczący zapytuje, wobec tego, iż p. Koczyndyk funguje jako rzeczoznawca ma zarazem występować także jako świadek, czy nie postawi kto jakich wniosków. Prokurator zgadza się na obecność p. Koczyndyka, gdyż zdaniem jego nie zachodzi tu prawna kolizya, adwokat dr. Lisiewicz natomiast sprzeciwia się powoływaniu p. Koczyndyka, gdyż ma to być notoryczny nieprzyjaciel nieboszczyka Zimy.

Oświadczenie to popierają wszyscy inni obrońcy. Nadto imieniem swego klienta oświadczył dr. Grek, że Szczepanowski, który w dwóch ostatnich latach zapadł ciężko na zdrowiu, rezygnuje wprawdzie z wyciągnięcia proceduralnych konsekwencyi z tego swego stanu, gdyż pragnie osobiście oczyścić się z zarzutów i przyczynić się do wyświetlenia sprawy, tak żywo obchodzącej kraj cały. Jednakowoż prosi p. Szczepanowski, aby mu wolno było na niektórych partyach rozprawy nie być obecnym, i ku poparciu tej prośby, przedkłada dr. Grek trybunałowi listy lekarzy drów Opolskiego i Widmana, które stwierdzają bardzo niepokojący stan zdrowia oskarżonego. Dr. Widman zauważa w swoim liście, że wskazanemby było, ażeby Szczepanowski nie brał udziału w rozprawie czas dłuższy, niż 4—5 godzin, że powinnoby to się dziać tylko w godzinach przedpołudniowych i to w asystencyi lekarza, zaś między jednem a drugiem przesłuchaniem Szczepanowskiego, powinno by mu się dawać 48 godzinny wypoczynek, w przeciwnym razie, skutki naprężenia fizycznego u Szczepanowskiego mogłyby być fatalne. Prokurator Heyderer oświadczył, że ze swego stanowiska na tę prośbę się zgadza.

Trybunał po naradzie odrzucił wnioski obrońców co do p. Koczyndyka, a oświadczenie p. Szczepanowskiego przyjął do wiadomości. W obec tego p. Szczepanowski z sali się wydalił.

Przystąpiono potem do odczytania olbrzymiego bo 425 stronnic liczącego głównego aktu oskarżenia, przygotowanego przez prokuratoryę państwa już dnia 26 lipca br. Jak wiadomo w tym akcie oskarżenia wymieniony jest jako główny sprawca oszustw, popełnionych na szkodę Kasy oszczędności, zmarły w więzieniu śledczem były jej dyrektor Franciszek Zima. Stanął on już przed sądem Najwyższego, a sprawiedliwość ludzka dosięgnąć może tylko jego wspólników. Ponieważ jednak wina tych wspólników stoi w ścisłym związku z winą zmarłego Zimy tak, że z wyjątkiem niektórych machinacyi, które Zima przedsięwziął na własną rękę, nie można doniosłości tej ich winy należycie ocenić bez poglądu na cały obraz fatalnej gospodarki w Kasie oszczędności za czasów dyrektorstwa Zimy, przeto aktu oskarżenia już nie zmieniano i obecnie odczytano go w całości tak, jak gdyby smutnej pamięci dyrektor Zima zasiadał na ławie oskarżonych razem ze swymi pupilami i zausznikami.

Akt oskarżenia rozpoczyna się historyą założenia galicyjskiej Kasy oszczędności we Lwowie, oraz charakterystyką organizacyi tej instytucyi. Opisuje następnie pokrótce dzieje dyrektorstwa Zimy od r. 1871, run na Kasę oszczędności, który wybuchł 19 stycznia br., dalej akcyę sanacyjną — a więc wypadki powszechnie już wiadome. Podczas owej akcyi sanacyjnej wyszły na jaw fakta, które dały powód do wdrożenia śledztwa karnego przeciw Zimie 23 lutego br.; śledztwo to objęło wkrótce i jego wspólników dotychczas jednak nie jest ono jeszcze zupełnie ukończone.

Po tym wstępie, zajmuje się akt oskarżenia szczegółowo winą Zimy. Opisuje więc jak Zima skoncentrował wszystkie agendy Kasy oszczędności w swoim ręku, ograniczając drugiego dyrektora Karola Smolkę wyłącznie do wydziału hipotecznego, jak kierując wyborami na członków dyrekcyi i wydziału zabezpieczył się od surowości kontroli i szkontrów, które w końcu stały się tylko czczą formalnością. Na nasuwające się stąd pytanie, jakim sposobem Zima mógł się stać despotycznym panem Kasy, stara się akt oskarżenia odpowiedzieć, kreśląc sylwetkę Zimy, jako człowieka cieszącego się zaufaniem całego kraju, który jednak to zaufanie umiał wyzyskać w ten sposób, że na najdrobniejsze uwagi groził, że natychmiast ustąpi ze swego stanowiska, a sekować się nie da.

Głównie grasował Zima w dziale rachunku bieżącego i weksli. Wszystkie depozyta składane na rachunek bieżący były zawsze pod jego zamknięciem, wysokość zaś ich bardzo często nie stała do wysokości poszczególnych kont rachunku bieżącego w stosunku przepisanym statutem, tak, że wiele tych kont nie miało albo wcale żadnego, albo tylko niedostateczne pokrycie. I tak np., gal. Bank kredytowy wybrał przeszło milion zł., a dał pokrycie w depozytach na mniej więcej 700.000 zł., dr. Marchwicki otrzymał zaliczki w kwocie 127.000 zł., a dał depozyty na 129.000 zł., gdy tymczasem statut pozwala na zaliczki co najwyżej do ¾ wysokości depozytów. Co jednak najgorsza, to to, że w obu tych wypadkach pokrycia miały tylko wartość nominalną, gdyż papiery na nie złożone nie były w obiegu. O wiele większe nadużycia działy się w portfelu wekslowym. Przedewszystkiem nie dopuszczał Zima do urzędowania żadnych cenzorów, mówiąc, że on sam jest najlepszym cenzorem i obejdzie się bez tego balastu. Gdy zaś namiestnictwo nalegało, aby tych cenzorów wprowadzić, odpowiedział Zima własnoręcznie napisanym referatem, że komitet taki funguje, co jednak nie było prawdą, gdyż potem nie znaleziono nawet ani jednego egzemplarza instrukcyi, drukowanej swego czasu dla tych cenzorów. Również nalegania b. naczelnego dyrektora Kasy dra Roińskiego, aby zaprowadzić tzw. arkusiki kredytowe, umożliwiające łatwą ewidencyę obrotu wekslowego, nie odniosły skutku.

Natomiast wprowadził Zima inną innowacyę własnego pomysłu. Były to tzw. kredyty kaucyonowane oficyalne i nieoficyalne. Oba te rodzaje kredytów były na pozór kredytami budowlanymi i stały w związku z przyszłą pożyczką hipoteczną. Strona dawała zapis kaucyjny, który powinno się było intabulować, poczem asygnowano jej amortyzacyjną pożyczkę hipoteczną i pozwalano od tej chwili eskontować w Kasie weksle o jednym tylko podpisie, które jednak musiała strona wykupić przed otrzymaniem właściwej pożyczki amortyzacyjnej. Różnica zaś między kredytem oficyalnym a nieoficyalnym była ta, że przy pierwszym przeprowadzano urzędowo oszacowanie nieruchomości i badano stan hipoteki, przy drugim zaś o te formalności całkiem nie dbano. Tak jeden jak i drugi sposób kredytowania był jednak właściwie złamaniem statutu i wcale nie był kredytem budowlanym ani hipotecznym, lecz po prostu kredytem wekslowym i to takim, który dawał wygodne pole do nadużyć. Na dowód tego przytacza akt oskarżenia kilkanaście przykładów, w których kredyty kaucyonowane albo częściowo, albo zupełnie spadły z hipotek, np. Emilowi Jahnowi, znanej ofierze z procesu Gumińskiego, udzielono na Tłumacz 60.000 zł., kwota ta jednak została zabezpieczoną tak niedbale, że cała przepaść musi.

W dziale weksli zwykłych wprowadził Zima również różne weksle kaucyjne i amortyzacyjne, prolongując je w nieskończoność wbrew statutowi, który zezwala na przyjmowanie weksli płatnych tylko w 3 miesiącach. W ten sposób Zima unieruchomił prawie zupełnie znaczną część gotówki i uczynił z Kasy oszczędności jakiś bank zaliczkowy, pożyczający na raty; w portfelu wekslowym bowiem nie znaleziono prawie żadnych weksli zwykłych, a jak słabym był ten portfel, świadczy to, że w chwili runu reeskontem własnych weksli nie mogła sobie pomódz Kasa, bo banki nie chciały tych weksli przyjmować. W spisie osób, które Zima obdzielał lekkomyślnie kredytem wekslowym, nie mającym często żadnego ubezpieczenia, znajdujemy między innemi następujące nazwiska: Marya Kalapus, właścicielka atelier fotograficznego pożyczyła 22.520 złr. z których 8.000 złr. przepada, Lenardowie 35.000 złr. z których tylko 4 000 złr. ma zabezpieczenie, Szydłowscy Tadeusz i Henryk 5.000 złr. — pożyczka nieściągalna, Walenty Halski, właściciel handlu żelaznego, który rzucał się na różne przedsiębiorstwa, ale wszędzie miał nieszczęśliwą rękę, pożyczył do 70 000 złr. Z tej kwoty 18.000 złr. znajduje dość wątpliwe zabezpieczenie na sklepie jego brata, który mu niektóre weksle żyrował, przeszło zaś 40.000 złr. przepadło wskutek tego, że Zima zaniedbał weksle protestować we właściwym czasie. Ta niedbałość, prawdopodobnie rozmyślna trafiała się Zimie zresztą bardzo często; świadczy o tem fakt, że w chwili zasuspendowania Zimy znaleziono w jego biurze weksle bądź zupełnie zadawnione, bądź z bezwartościowymi wskutek zaniedbania protestu żyrami na łączną sumę 126.920 złr. Kredytu wekslowego udzielił Zima także niejakiemu Staszkiewiczowi, który pożyczywszy 3.000 zł. podpisów swoich na wekslach przysięgą się wyparł, za co go skazano na 6 miesięcy kryminału; mimo to jednak dostał on od Zimy jeszcze raz 3.000 zł. Ta suma prawie cała przepada.

Również wątpliwą jest wierzytelność Kasy do dyrektorów teatru hr. Skarbka Bandrowskiego i Hellera. Pp. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller mieli w dniu 31 grudnia 1898 dług wekslowy łącznie 43.940 zł. nie znajdujący pokrycia w ich majątku. Strata na tym kredycie niezawodna, cyfrowo oznaczyć się nie da; jeżeli p. Ludwik Heller utrzyma się nadal przy dyrekcyi teatru lwowskiego spodziewać się można zwrotu choć części długu.

Nadto otwierał Zima także wekslowy kredyt licznym urzędnikom Kasy Oszczędności wbrew zakazowi statutu. I tak znaczną kwotę pożyczono Stanuchowskiemu, z kwoty tej 32 000 zł. uległo zadawnieniu wskutek niedbalstwa Zimy. Najwięcej, bo 110.753 zł. pożyczył Wędrychowski, o czem będzie później mowa, wpierw bowiem musimy opisać rolę jaką w tej całej sprawie odegrały olbrzymie długi Szczepanowskiego.

W tem miejscu przerwano czytać akt oskarżenia o godzinie 1¼. Dalszy ciąg rozprawy o 4-ej.

My również musimy przerwać opowiadanie, osnute na tle aktu oskarżenia, gdyż ustawa prasowa nie pozwala na wyprzedzanie rozprawy sądowej, a inne dzienniki lwowskie, które się pospieszyły i dziś rano wydały akt oskarżenia w tej sprawie, zostały wszystkie bez wyjątku skonfiskowane.

Zaznaczyć jeszcze musimy, że oskarżeni siedzą w następującym porządku: na pierwszem krześle od strony adwokatów siedzi Szczepanowski, a dalej Wędrychowski, potem Karpiński, a ostatnią od strony ławy przysięgłych jest pani Fuhrmann.

Szczepanowski wygląda chorowicie, ma cerę żółtą, niezdrową. Z początku siedział z rękami, założonemi na piersiach, oparty plecami o krzesło w pozie tej, którą Francuzi nazywają „robić statuę Napoleona“. Potem, gdy dr. Grek złożył oświadczenie co do jego choroby, p. Szczepanowski oparł się o stolik, i siedział aż do końca w tej pozie przygnębionej.

P. Wędrychowski siedzi przygnębiony, zsunięty w krześle z nogami założonemi jedna na drugą. P. Karpiński najlepiej z nich wszystkich wygląda, jest zażywny, robi wrażenie człowieka pospolitego.

Wreszcie pani Fuhrman jest osobą dość przystojną, w latach balzakowskich, o figurze bardzo zgrabnej, ubrana czarno, dość gustownie. Siedzi w kapeluszu, woalkę ma podniesioną.

List ze wsi.

Z Tarnowskiego.

(M. S.) Niezaprzeczenie w ścisłym związku z szkolną oświatą ludową stoją czytelnie ludowe, uzupełniają one, przynajmniej uzupełniać powinne szkołę — a nawet są dla oświaty ludu nierównie ważniejsze, niż szkoła, jeżeli je jako środek szybkiego i praktycznego oświecenia uważać, jako taki pojmować i zastosowywać będziemy. Dobrze jest najmłodszą generacyę t. j. dzieci, uczyć czytać i pisać, lecz nierównie ważniejszem jest oświecać i kształcić dorosłych, a więc tych, którzy wiekiem i posiadaniem wkraczają w czynne życie obywatelskie, a więc gospodarzy i ojców rodzin. Czy tak zostały pojęte czytelnie ludowe, czy ten właśnie im cel postawiono? Bynajmniej. Tak jak dziś one są, są to izby, zaopatrzone w parę dzienniczków i paręset książek, izby służące do pogadanki towarzyskiej, którą nikt nie kieruje, bez programu i bez wytkniętego celu. — Lepsze to, jak zbieranie się w karczmach, ale dalekiem jest od tego, czemby one być mogły i i czem być powinne — i tu też dotykalnie stwierdzić można ten brak kierownictwa spraw krajowych, o jakiem już raz wspomniałem. Czytelnie jakie są, powstały dorywczo — ktoś pierwszy rzucił myśl, ten i ów dziennik poparł, tu i ówdzie znalazł się promotor tej dobrej myśli, czytelnia zawiązaną została, dzienniki o tem wiadomość rozniosły z zachęceniem do zakładania tych pożytecznych ognisk towarzyskich dla ludności wiejskiej. Znaleźli się naśladowcy i czytelnie te coraz gęściej zakładać zaczęto, lecz, jak to u nas bywa, zapalamy się prędko do dobrej szlachetnej myśli, ale równie prędko ostygamy, a rezultatem jest, że coraz mniej o nowo powstających czytelniach ludowych słyszymy i coraz też mniej i w dziennikach o nich czytamy—bo i one zaprzeć się nie mogą wspólnego nam wszystkim braku usposobienia tak u Litwinów cenionego a u nas prawie nieznanego, *tej pewnej żyłowatości i wytrwałości* w raz obranym i za dobry uznanym kierunku pracy społecznej. I tu się też najlepiej ujawnia różnica charakteru naszego od ruskiego: podczas kiedy od roku 1890 do 1896 założono czytelni polskich 104 — w tym samym okresie czasu powstało czytelni ruskich 764. Ta wielka różnica na niekorzyść naszą daje wiele do myślenia, jeżeli się zważy, że niewątpliwie w zachodniej części kraju i w ogóle w łonie narodowości polskiej jest niezaprzeczenie więcej inteligencyi, a więc ludzi, którzy impuls do zakładania czytelni dać i te czytelnie na pewnej wyżynie kulturnej utrzymać mogli — a przecież przeciwnie się stało. Zawdzięczyć ten stan w Galicyi wschodniej należy niewątpliwie duchowieństwu ruskiemu. Ono w lot przywłaszczyło sobie pomysł, gdzie indziej zrodzony, i zrozumiało, jaką dźwignią mogą być w życiu norodowo politycznem czytelnie, w których ksiądz lub nauczyciel ruski — bo innych czynników tam nie ma — rej wodzi, i dla tego mnożą się tam te czytelnie.

Nie są one tem, czemby być powinny: rozsadnikami prawdziwej, kołom włościańskim przystępnej a zarazem zdrowej i uczciwej oświaty, miłością bratnią współżyjącego z nim narodu natchnionej — a przytem rzeczywiście dobrej oświaty a więc pouczającej lud w kierunku tym, jakiego mu potrzeba — o jego prawach, ale zarazem i jego obowiązkach. Są one tam z małemi wyjątkami ogniskami nienawiści i waśni narodowej — tam to czytają i rozdają im nienawiścią szczepową ziejące pisemka i nieustannie kopią i rozszerzają tę przepaść, która ma rozdzielić na wieki dwa szczepy bratnie, przez wieki złączone. Nie o kulturną zdobycz tam chodzi, daleko więcej o polityczny wpływ i skutek. Nie tak jest po naszej stronie. Nam nie chodzi i chodzić nie może o zadokumentowanie naszej narodowości, bo

ta jest, żyje i rozwija się w pełni, na wszystkich polach kultury ludzkiej — nikt jej nie zaprzecza i zaprzeczyć ze skutkiem nie jest w stanie. My więc w czytelniach ludowych, nie tracąc z oka krzewienia silniejszego poczucia narodowego, pragniemy przedewszystkiem podnieść poziom wykształcenia naszego ludu w dziedzinie historyi i ustawodawstwa obowiązującego, a przedewszystkiem gospodarstwa krajowego i tej specyalnie roli, z przyrodą się zajmującej nauki. I nigdzie tam nie usłyszy głosu: „nienawidź Rusina"! ani też nie znajdzie jednego psemka polskiego, tę nienawiść do bratniego szczepu szerzącego — i w tem też tkwi ta o całe niebo wyższa etyka polskości, która jest tak w sobie czystą, szlachetną i wzniosłą, że śmiało o niej rzec można, iż bramy piekieł jej nie przemogą — i jak długo my ten zacz, co naszą istotę stanowi, w tej czystości i że tak powiem niepokalaniu trzymać będziemy, nie straszne nam są gromy Północy, ani też krecie roboty od Wschodu. — My czekać możemy, ale nam się stanie sprawiedliwość — i stać się ona musi, bo porządek świata jest ten, iż dobre i słuszne sprawy prędzej czy później zwyciężają, zwyciężyć muszą.

Środkiem do tego zwycięstwa prowadzącym, są niezaprzeczenie wiejskie czytelnie ludowe dobrze zorganizowane i rozumnie prowadzone. Niestety na ogół rzecz biorąc, nie ma ani jednego, ani drugiego. Lecz jeszcze czas [illegible] na jakie wprowadzoną być była powinna i na jakie wprowadzoną być musi. Niezaprzeczną trudności, jakie w rzeczywistości są, ale z drugiej strony [illegible] trudności pokonać należało.

Trudności pochodzą z braku po wsiach ludzi intelligentnych i czas mających, by się czytelnią zająć mogli. Bo któż jest właściwie w ½ wsi naszej? Właściciel obszaru wiejskiego, ksiądz i nauczyciel — po za tem nie ma nikogo, a i ci trzej nie w każdej wsi są, bo albo niema w miejscu właściciela obszaru, albo nim jest żyd — niema też często nauczyciela, a ksiądz, to już tylko w tej wsi jest, która jest siedzibą parafii. Powtóre wszyscy ci trzej albo nie mają dość wolnego czasu, albo nie mają dość wykształcenia i że tak powiem profesorskiej wiedzy, by wykładać zgromadzonym w czytelni w sposób popularny, a więc zrozumiały rzeczy, dla włościaństwa ważne i pouczające ich, a czerpane z dziedziny historyi, ustawodawstwa i przyrody. Takie odczyty powinny więc być gotowe, właśnie na wszystkie Niedziele i Święta, w pewien system ujęte i odpowiednio do pojęć i potrzeb [illegible] zastosowane. Mając taką książeczkę, ksiądz czy nauczyciel, czy też właściciel obszaru, [illegible] o oznaczonej godzinie do czytelni, i przeznaczony na ten dzień traktacik z książki odczytał, przyczem nie obeszłoby się bez pewnej dyskusyi i pogadanki — a niewątpliwie ludzie rozeszli by się wzbogaceni wiedzą o przedmiocie, o którym dotąd nie słyszeli i chętnie i coraz chętniej uczęszczaliby na te wykłady. Taki tryb rzeczy, zaprowadzony w czytelniach wiejskich, zjednałby im z pewnością ogólne powodzenie, bo włościanin nasz łaknie wiedzy i z wdzięcznością ją przyjmie, jeżeli mu ona podaną zostanie w formie przystępnej i dlań zrozumiałej.

Ludzi, którzyby takie odczyty ułożyć potrafili, mamy dość w kraju, a również i środki znaleźć się powinny w ofiarności obywatelskiej, by takie wydawnictwo stworzyć i promotorów czytelni czy już istniejących, czy też świeżo powstających, niemi bezpłatnie zaopatrzyć.

Że nasze światłe i patryotyczne duchowieństwo i odnośne Ordynaryaty całym swym wpływem poprą takie przedsięwzięcie, o tem nikt wątpić nie może. Z góry więc będzie wpływ, a u dołu czyn, ale trzeba to umożliwić w sposób, jaki wyżej podaję. Na nic się nie zdadzą usiłowania szlachetnych jednostek i nawoływania do działania drugich, jeżeli się wpierw nie stworzy praktycznych warunków tej pracy — będzie to działanie na ochotnika, ale nie świadoma celu, systematyczna całą ludność wiejską obejmująca praca.

Sprawozdanie poselskie

p. Stanisława Madeyskiego.

III. Uwagi p. Madeyskiego, odnoszące się do projektu przeobrażenia Austryi w federacyę, mają największą wartość z całej jego broszury. Ocenia on zupełnie trafnie stanowisko jakieby Galicyi w tym nowym porządku rzeczy przypadło w udziale. P. Madejski pisze:

Wysuwano projekt zmiany ustroju państwa w kierunku federacyi. Myśl tę zwalczałem stanowczo Nie moją jest rzeczą roztrząsać takiej myśli ze stanowiska innych narodów i krajów. Obowiązek natomiast polityczny każe mi ocenić ją wyłącznie tylko ze względu na dobro mojego kraju i narodu, oraz ze względu na ogólne dobro całego państwa. Obydwa te względy myśl tę stanowczo potępiają. Co się tyczy Galicyi, to w razie federacyjnego przekształcenia Austryi kraj nasz albo pozostałby wraz z resztą krajów — prócz Czech, Moraw i Szląska — w dotychczasowym związku jako jedno państwo, albo też stałby się osobnem państwem samoistnem. [illegible] W pierwszym dlatego, ponieważ nowe to państwo, do którego należałaby Galicya, stałoby się — po utracie trzech najbogatszych krajów — tak materyalnie słabem, że kraj nasz nie mógłby od niego doznawać tej skutecznej opieki i pomocy, jakiej niezbędnie potrzebuje, a do której po wiekowem niemal zaniedbaniu ma prawo, dzisiaj już dzięki Bogu i rozumnej pracy Koła polskiego powszechnie u państwa uznane. W drugim wypadku dlatego, że kraj nasz sam zanadto jest słaby finansowo i materyalnie, ażeby jako osobne państwo o własnych tylko siłach mógł rozwinąć się tak, jak tego warunki dzisiejszego czasu wymagają.

Co się zaś tyczy dobra ogólnego Austryi, to podział jej na kilka odrębnych państw małych osłabiłby jej siłę wewnętrzną, obniżyłby poziom cywilizacyjny ogólny i zewnętrzne jej mocarstwowe stanowisko tak znacznie, że żadne z jego małych państw nie mogłoby liczyć na tak potężną obronę ze strony Rzeszy państw węgiersko-czesko-austryackich, jaką dzisiaj zapewnia krajom i narodom dualistyczna monarchia Austro-Węgier. Niewątpliwym przeto dla mnie jest, że dobro narodu i państwa wymaga polityki polskiej w Austryi: w danych dziś warunkach utrzymać zasadę obowiązującej konstytucyi, wedle której Austrya stanowi jedno państwo, a kraje są jego organami autonomicznymi: jedności państwa obok autonomii krajów.

Gdy w komisyi Izby poselskiej toczyły się obrady nad adresem prawicy, wtedy zapatrywanie swoje pod tym względem wyraziłem zasadniczo w ten sposób, że dobro państwa i krajów wymaga silnej władzy centralnej i zdrowej autonomii krajów. [illegible] Pod tym względem [illegible]

Oczywiście niepodobna bez zastrzeżeń przystawać na program autora, wyrażony słowami: „silna władza centralna i zdrowa autonomia krajów", [illegible] „silna" i „zdrowa" [illegible]. Jednakże, wierząc w patryotyzm p. Madeyskiego, moglibyśmy bez obawy zgodzić się, aby to on w praktyce przeprowadził pojęcie o owej silnej władzy centralnej i owej zdrowej autonomii kraju, a naturalnie nie moglibyśmy się na to zgodzić, gdyby praktyczne wykonanie programu powierzone zostało jego przyjaciołom liberałom z lewicy niemieckiej.

Za to zupełnie bez zastrzeżeń godzimy się na to wszystko, co szan. autor mówi o idei słowiańskiej i o jej praktycznem znaczeniu. P. Madeyski pisze:

Zaostrzenie stosunków politycznych wywołało w życiu politycznem lat ostatnich prąd „Słowiańszczyzny". Zwalczałem go od pierwszej chwili z całą stanowczością. Co to jest idea słowiańska? Jeżeli się przez to rozumie pokrewieństwo szczepów, czy fizyologiczne, czy psychologiczne, to idea słowiańska jest tematem dla badań ściśle naukowych. Ona z polityką nie ma nic wspólnego. Jeżeli zaś idea słowiańska ma na to służyć, ażeby rozbudzić, wzmocnić i utrwalić we wszystkich szczepach słowiańskich wspólne i powszechne poczucie jedności wielkiej rasy, jako podstawę pojęcia jednej społeczności, jakoby rodzinnej, której istotnemi pierwiastkami byłyby: problematyczne podobieństwo krwi, budowy czaszek, koloru włosów i tym podobnych oznak antropologicznych, tudzież podobieństwo mowy — to utrwalenie takiego pojęcia „rasy" byłoby zabiciem „narodowości" i brutalnem obniżeniem cywilizacyi ludzkiej. Pierwszem dlatego, że istota „narodowości" polega właśnie na odrębności tego jednego szczepu, który sam dla siebie, na podstawie swojej własnej mowy ojczystej wspólną a osobną pracą duchową i fizyczną generacyj, w historyi ludzkości doszedł do rodzimej cywilizacyi wyższego stopnia i cywilizacyę tę jako odrębną, a więc sobie tylko właściwą utrzymać i rozwijać pragnie. Drugiem zaś dlatego, że poczucie „narodowe" pobudką swoją i celem zmierza do tego, ażeby przez zupełne rozwinięcie zdolności wspólnemu charakterowi narodowemu właściwych przyczynić się w szlachetnej rywalizacyi z wszystkimi innymi narodami do ogólnego postępu cywilizacyi ludzkiej. Poczucie „rasowe" zaś wypływa z prostego tylko antagonizmu, a nie mając ani podkładu, ani celów cywilizacyjnych, nie może samo z siebie wydać innego następstwa, jak tylko dziką nienawiść do rasy przeciwnej. Taką nienawiść, gdyby była silnie rozbudzoną, można spożytkować dla celów politycznych tylko jako brutalną sprężynę niszczącego działania.

To też i idea słowiańska, spożytkowana jako sprężyna politycznego działania, mogłaby w Austryi poczynić dzikie spustoszenia, dodatniego dla państwa nic stworzyć nie potrafi. — Jednakże ograniczenie idei słowiańskiej na samą tylko Austryę — frazes przez polityków niekiedy nawet w dobrej wierze używany — jest z powodu swej sprzeczności prostą niedorzecznością. Albowiem kto wyznaje ideę jednej społeczności słowiańskiej, ten żadnego z niej szczepu słowiańskiego wykluczyć nie może, musi więc znaleść się w niej obok i wraz z narodem rosyjskim, który jakkolwiek najbardziej z krwią innych ras pomięszany, przecież wskutek mowy swojej cechę szczepu słowiańskiego zachował. A że naród ten ma swoje państwo, wobec którego olbrzymiej siły i potęgi niknie wszelka odporność każdego z innych szczepów i narodów słowiańskich, dlatego koniecznem prawem działania sił społecznych idea słowiańska w celach politycznych użyta, prowadzi ostatecznie mocą niezbitej konieczności wszystkie narody i plemiona słowiańskie tylko do Rosyi i pod Rosyę. Idea słowiańska w znaczeniu politycznem rozumiana nie jest niczem innem, jak tylko panslawizmem — a ten odtrąca wiekowa tradycya polska z równą siłą jak polityka Austryi.

W końcu p. Madeyski propaguje — bez wyraźnego zastosowania do stosunków chwili obecnej — myśl, że Koło polskie może zawierać sojusze polityczne z innemi stronnictwami w Austryi, ale nie powinno wiązać się bezwzględną z niemi solidarnością. Autor powołuje się w tej mierze na zdanie ś. p. Kazimierza Grocholskiego.

Wywody p. Madeyskiego brzmią jak następuje:

Oprócz idei wspólności rasowej zwalczałem także myśl politycznej solidarności Koła polskiego z temi stronnictwami politycznemi, z któremi razem Koło w parlamencie związek prawicy stanowi. Co innego jest sojusz polityczny, a co innego polityczna solidarność. Sojusz jest związkiem czasowym, zawartym dla osiągnięcia pewnych jasno określonych celów politycznych. Koło polskie zawierało różne sojusze polityczne. Były one zawsze czasowymi i warunkowymi, bo były zawierane na podstawie pewnych suppozycyj, a te zachowywały zawsze narodowi i krajowi naszemu w zasadzie swobodę. Każdego sojuszu Koło polskie dotrzymywało lojalnie i gdy sojusz ustał, wychodziło z niego i z honorem i bez politycznego szwanku. Solidarność zaś to związek, którego istotą dewiza: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. To skrępowanie się bez ograniczenia czasowego, to przykucie siebie do partyi politycznej, do jej dążeń, jej aspiracyi, jej doli i niedoli. W takie związki głębokie i trwałe Polakom z naszego kraju wchodzić nie wolno. Są oni bowiem odłamem narodu i nie wolno im działaniem swojem stanowiska i losów całego narodu przesądzać. Taką też tradycyę polityki Koła polskiego, która mię zawsze ożywiała, usłyszałem niegdyś jako młody poseł z ust śp. Kazimierza Grocholskiego, gdy w roku 1879 na porządku dziennym obrad Koła polskiego stanęła kwestya zawarcia sojuszu ówczesnej prawicy za rządów hr. Taaffego. „Koło polskie — mówił Grocholski — jest w pierwszym rzędzie reprezentacyą narodową. Naród polski jest indywidualnością odrębną, samoistną i dlatego jego reprezentacya musi w polityce zachować dla siebie swobodę. Może Koło wchodzić w sojusze, w celu osiągnięcia pewnych konkretnych i praktycznych celów. Lecz przywiązywać los polityczny narodu polskiego do losów jakiejkolwiek partyi politycznej lub jakiegobądź innego narodu, tego Kołu uczynić nie wolno".

Z przytoczonych urywków czytelnicy łatwo wywnioskują, że praca p. Madeyskiego nie jest jednolita pod względem dokładności opracowania; o ile jedne części są wynikiem głębokiego namysłu, o tyle inne widocznie zostały napisane dość pobieżnie. Z końcowych ustępów broszury, zawierających zdania bardzo wytrawnego polityka, można się było spodziewać, że p. Madeyski zarekomenduje Kołu polskiemu stanowisko najbardziej bezstronnego widza zatargów czesko-niemieckich, tymczasem on, lubo w jednem miejscu pisze, że załatwienie tych zatargów jest rzeczą rządu, jednakże wszędzie stara się przechylić Koło polskie ku lewicy. W tem się wyraża pewna dwoistość przewodniej myśli autora i ona też sprawiła to, że cała broszura nie jest utworem jednolitym.

Z numizmatyki.

Francuski dziennik *L'illustré Soleil du Dimanche* ogłosił niedawno sensacyjną wiadomość o znalezieniu jakowegoś medalu, pochodzącego, jak twierdzi właściciel jego, z czasów apostolskich. Medal ten jest o połowę większy od naszego guldena. Z jakiego metalu odlany, dotąd nie wiadomo. Przy potarciu o sukno, rozgrzewa się z łatwością, stygnie jednakowoż pomału. Widocznie jest to amalgamat.

Ten wysoce cenny zabytek kupił za dwa sous p. Boyer d'Agen (redaktor organu *l'Oeuvre d'Art*) u biednego żyda, handlującego na „Campo dei Fiori" staremi monetami. Zamiłowany numizmatyk nie poznał się zrazu na wartości i starożytności medalu, który był cały pokryty grubą warstwą rdzy; natomiast wytarłszy go należycie, spostrzegł ślicznie wykończone demi-relief, popiersie mężczyzny o długich włosach i brodzie, o idealnym, boskim profilu i napisie z obu stron głowy: „יא-ש" co znaczy w hebrajskim języku: „Jezus". Na stronie odwrotnej widniały następujące daty:

משיח
מלרבא״בש
לים״ארסא
דסמשם
תי

A zatem p. Boyer d'Agen, zdaniem swojem i kilkunastu znawców, stał się posiadaczem autentycznego wizerunku Chrystusa.

Dziwi mnie tylko, że daty odwrotnej strony nie zgadzają się z datami przebywania Chrystusa na ziemi, są bowiem o wiele późniejsze.

Lammers, korespondent wspomnianego dziennika, pisze w swoim artykule, że wyż wymieniony medal jest prawdopodobnie kopią istniejącego gdzieś oryginału, a daty jego zaznaczają tylko rok, w którym kopia odlaną została. Inaczej (prawi) trudno sobie tę numizmatyczną zagadkę wytłumaczyć.

Nie jestem tak biegłą, jak p. Boyer d'Agen, w numizmatyce, a zresztą nie widziałam tego medalu, posiadam tylko odbitkę jego litograficzną, według której sądząc, nieprawdopodobnem wydaje mi się, aby medal ów pochodził rzeczywiście z czasów apostolskich, lub był choćby kopią nieznanego oryginału.

Dlaczegoż bowiem kopia inneby posiadała daty, jak ten prawdziwy, z czasów Chrystusa przechowany medal? — Czyż ci, którzy kopiowali oryginał, byliby na tyle nierozumni, aby swemu dziełu odbierać wartość, podając mylnie daty?

Sądząc z odbitki, zdaje mi się, że medal pana Boyer d'Agen jest po prostu artystycznym humbugiem czasów średniowiecznych.

Wiemy przecież dokładnie jakich „fortelów" używał wiek X., XI., XII. et caetera, w wynajdywaniu starożytnych cennych dokumentów, monet, obrazów i t. p.

Wiemy, że Edessa (teraz Urfa w Mezopotamii) szczyciła się ongi obrazem Chrystusa, malowanym z natury przez św. Łukasza apostoła.

Wiemy iż miasta: Besançon, Turyn, Toulouse, Compiègne, Sorlat, Jerozolima, Rzym i kilka miast hiszpańskich, piszą się właścicielami chusty św. Weroniki. (Że Chrystus Pan podczas swego pochodu na Golgotę kilka razy pot z czoła ocierał, to możliwe; ale żeby św. Weronika, przewidując sławę swoich chust, cały cykl onych za Jezusem niosła, to już całkiem na aksyomat nie wygląda).

Istniał także podówczas list Lentulusa, który opisuje rzymskiemu senatowi postać Galilejczyka; istniały opisy Jana Chrysorrhoasa (Damascenusa) o wysokim wzroście Jezusa, o zrośniętych, ciemnych brwiach itd.

Te wszystkie listy, papiery, wizerunki były fabrykowane, jak dowiedziono później, w VII, IX, X i dalszych stuleciach.

Czy i ten medal, pochodzący jakoby z apostolskich czasów, nie pochodzi przypadkiem z X lub XI wieku? Napisy imienia i dat w klasyczno-hebrajskim języku czyż nie mogły być z łatwością naśladowane ze starych manuskryptów? *).

A że się nie zgadzają z datami posłannictwa Jezusowego, że się fałszerz nie postarał o lepsze historyograficzne wiadomości, nic w tem dziwnego. Przez lat tysiące spierali się mędrcy o rok urodzenia i śmierci Zbawiciela. Połowa ich zgadza się z Dyonizyuszem, że Chrystus przyszedł na świat mniej więcej około 750 r. po założeniu Romy, a zmarł na krzyżu w r. 781 — inni, że w r. 782—3—4.

Cóż więc nadzwyczajnego, iż w średnich wiekach mylne posiadano pojęcia o erze Chrystusowej i o jej początku? Zresztą medal jest tak wykończony i wydoskonalony, brzegi ma tak równe i regularne, uszko tak symetryczne, że wydaje się nieprawdopodobieństwem, aby z początku ery chrześcijańskiej pochodził.

Sztuka medalierstwa i mennictwa w pierwszem stuleciu naszej ery za mało była rozwiniętą na podobne arcydzieło. Przynajmniej tak mi się wydaje, patrząc na monety z tych czasów.

Weźmy n. p. denar rzymski z r 91—88 przed Chr., jakie kształty ma nieforemne, brzegi w zygzaki, całość niemal owalną; a wielki pieniądz już z r. 218 po Chr., odbity na pamiątkę 1000-letniego założenia Romy — o ile niżej stoi od powyższego medalionu! — Czyż możliwe jest, aby słynny denar Augustusa pochodził niemal z tej samej epoki? O pierwszym wizerunku Odkupiciela wspomina dopiero w drugiem stuleciu jakaś sekta gnostyków. W następnych wiekach rozgrywały się nieraz spory między Ojcami Kościoła o wyglądzie Chrystusa. Jedni twierdzili, stosując się do pism św. Jana (52, 13, 53, 1, 12), że rysy Zbawiciela nie były regularne, prawie brzydkie; drudzy, podług starych psałterzy, że to była postać idealna i skończenie piękna, pod każdym względem.

To przekonywa nas dostatecznie, iż żadnych podówczas autentycznych wizerunków Chrystusa nie znano i nie wierzono w ówczesne fałszywe obrazy, posągi, papiery i t. p.

Kompetentną nie jestem w numizmatyce i przeczyć nie chcę znawcom; mam nadzieję jednak, iż moje przypuszczenia zostaną przez nich kiedyś potwierdzone.

A zresztą... qui vivra, verra.

Marya Colonna Walewska.

*) Sądzę, że daty na tej mniemanej kopii, gdyby rzeczywiście kopią była, nie w hebrajskim języku byłyby napisane, ale w języku tego, który medal odlewał z oryginału, a który podobno nie był izraelitą.

Burze i cyklony.

Straszne wiadomości doszły nas tego lata z Ameryki. Huragany niszczyły, zmiatały całe wsie i miasta tak na wybrzeżu jak i na dalszym kontynencie, łamiąc i porywając w szalone kręgi trąb powietrznych i cyklonów wszystko, cokolwiek na powierzchni ziemi nie oparło się ich żywiołowej potędze. Klęski te, tak ciężkie i straszne, poczęły od niejakiego czasu zajmować u nas umysły ogółu, tembardziej, że właśnie w ostatnich latach zdarzyło się częściej niż przedtem, iż burze owe przechodziły Atlantyk, nawiedzając po zniszczeniu amerykańskich miast i stepów, przerażone tym niezwykłym gościem kraje starej Europy.

Huragany, o których mowa, szaleją corocznie w zatoce Meksykańskiej, oraz w nadmorskich krajach Ameryki południowej, gdzie są poprostu istotnem znamieniem klimatu. Rodzą się przeważnie w cichych wodach archipelagu Antylskiego, a raz wydarłszy się na pełne morze, lub płaszczyzny Ameryki, pędzą jak wściekłe, już to zataczając pijane kręgi, już to pędząc prostą linią, tysiące mil naprzód, aż do zupełnego wyczerpania.

Ludność zamieszkała na wybrzeżu atlantyckiem, wyrobiła sobie dawniej sama teorye o periodyczności cyklonów i oczekiwała ich powrotu co dziesiąte lato. Jeżeli ono przemijało spokojnie, żyło się z wiarą w dziesięć nowych lat spokoju. Dopiero rok 1893, w którym huragany powtarzały się co kilka tygodni, zadał tym teoryom i nadziejom okrutny kłam. Straszny to był rok. Pierwszy, a zarazem najstraszniejszy cyklon wybuchł w sierpniu. Szedł przez Louisianę i Missisipi, wpadł na wyspy, zamieszkałe przez rybaków, ścinał ludność, jak kosą, topił okręty, niszczył wszystko i nikł na oceanie. Którędy przeszedł, zostawił straszliwe ślady: zabijał ludzi (zginęło wówczas 1792 ludzi) i niweczył ich mienie. Straty obliczono na 5 milionów dolarów. Szczególnym objawem tej burzy było, że zabijała starców, dzieci i chorych, a przeżyli ją tylko ludzie młodzi i zdrowi, mało kto został poraniony, znajdowano całe setki trupów niezadraśniętych nawet, bez ran i bez kontuzyi, zabitych jedynie gwałtownem parciem wichru. Ponieważ zaś wicher leciał z szybkością 125 mil angielskich na godzinę, więc łatwo pojąć, że twardego potrzeba było organizmu, by mu się oprzeć. Wiele osób zmarło w kilka dni lub tygodni później z wyczerpania nerwowego. Na falach Atlantyku zginęło 375 większych i mniejszych statków.

Cyklon ten nie przeszedł jednak bez zapowiedzi. Trzy dni przed jego nadejściem zapowiedziało go biuro meteorologiczne. Wiedziano tam o nim, że się już tworzy na wo-

---

45)

SONIA KOWALEWSKA

przez

KAROLINĘ LEFFLER

Przekład Anastazyi Świderskiej.

(Ciąg dalszy)

Po skończonych wykładach w Sztokholmie wyjechała pośpiesznie „piękną, miłą, krótką, drogą" do Malmö, a stamtąd do Paryża, skąd jeden, jedyny list odebrałam.

„Otrzymałam twój list, wyrzucam sobie, że pierwsza do ciebie nie napisałam, sądziłam bowiem, że się już o mnie nie troszczysz. Kilka tylko słów odbierzesz, gdyż dziś jeszcze list posyłam, aby ci powiedzieć, że jesteś niesprawiedliwą sądząc, że w twej nieobecności o tobie zapominam. Nigdy może nie kochałam was więcej, ciebie i twojego brata. Radabym każdą przyjemność z wami podzielić. Bardzo mi wesoło schodzi czas w Paryżu. Matematycy i nie matematycy są dla mnie bardzo uprzejmi. Mimo to tęsknię za wami. Nie mogę wyjechać stąd przed lipcem; a zatem przed zebraniem towarzystwa badaczy przyrody nie przyjadę do Christyanii. Czy możesz na mnie w Kopenhadze zaczekać? pojechałybyśmy razem w dalszą drogę. Odpisz bezzwłocznie. Twoją „Powieść letnią" dałam do przeczytania Jonaszowi Lie; bardzo cię mile wspomina, utrzymuje, że masz więcej talentu do powieści, niż do dramatów. Raz jeszcze zobaczę Jonasza Lie przed moim wyjazdem. Ściskam cię serdecznie kochana Karolino i pragnę jak najprędzej zjechać się z tobą".

Jak zwykle, nie mogła aż do ostatniej chwili wyrwać się z Paryża i przyjechała do Christyanii ostatniego dnia posiedzenia badaczów przyrody. Przyzwyczaiła mnie do gwałtownych zmian w swojem usposobieniu, tym razem jednak zbyt było nagłe przejście z jej stanu duszy do obecnego. Widywała w Paryżu słynnego matematyka Poincaré i wielu innych. Obcowanie z nimi obudziło w niej zamiłowanie nauki, zabrała się przeto do badań matematycznych, pracowała usilnie nad rozwiązaniem problematów, pragnąc sławy i uzyskania najwyższej nagrody od francuskiej akademii. Teraz według niej nie było na świecie nic prócz wiedzy, nic coby jakąkolwiek wartość miało. Wszystko inne: miłość, marzenia, podniosłe myśli, szczęście rodzinne, wszystko jest marne i błahe. Poszukiwania naukowe, rozwiązywanie wątpliwości, w tem jedynie tkwi prawdziwa piękność, prawdziwe szczęście możebne w tem życiu. Pragnęła tworzyć, był to okres, w którym na nowo błyszczała, była rozumną, piękną, uroczą, tryskała dowcipem i genialnemi pomysłami.

Przybyła do Christyanii po trzytygodniowej podróży morskiej, trzy dni chorowała, zaledwie parę godzin wypocząwszy, przyłączyła się do nas i udała się wraz z nami na ucztę, zakończającą zebranie.

Sonia, będąca w najlepszym humorze nie czuła wcale zmęczenia Mnóstwo toastów na jej cześć wnoszono. Najznakomitsze osobistości cisnęły się do niej, a ona, jak zawsze w podobnych razach była tak miła, łatwa i uprzejma, że wszystkich zachwycała.

Udaliśmy się potem na kilka dni do Telemarku i zwiedzili ludową szkołę Ulmana, która Sonię bardzo zaciekawiła; pisała później o wyższych szkołach ludowych w Skandynawii i posłała swoją pracę do rosyjskich dzienników, które przez to liczbę prenumeratorów podwoiły.

Z Silfordu zrobiliśmy wycieczkę w góry, była to nowość dla Sonii. Z odwagą i z wielką zręcznością wychodziła na najwyższe szczyty gór, zachwycona pięknością natury, używała życia całem sercem, a tylko pasące się krowy i kamienie toczące się w przepaść przerażeniem i strachem ją przejmowały; krzyczała jak małe dziecko, co nas wszystkich niezmiernie bawiło. Umiała oceniać i podziwiać piękność natury, gdyż wszystko co podniosłe i poetyczne silnie do jej duszy przemawiało, wzrok jednak miała tak krótki, że szczegółów widoku uchwycić nie mogła. Z pewnością nie wiedziała jakiego gatunku jest to lub owo drzewo, lub jaka roślina tuż obok niej się znajduje. Z wrodzonej kokieteryi, a może też przez wzgląd, że każdy uczony pedant i każda, tak zwana niebieska pończocha przedstawiani są w okularach, nigdy ich używać nie chciała. Pomimo krótkiego wzroku, pociągnięta prawdopodobnie bujną swą fantazyą, w opisach swoich świetnie każdy kraj, każdy widok przedstawiała, dopomagała jej może do tego znajomość przyrody.

Przeszła wstępne przyrodnicze nauki, pomagała mężowi do tłómaczenia „Życia ptaków" Brehma, uczyła się z nim razem paleontologii i geologii, przestawała z kilkoma znakomitymi badaczami przyrody, a jednak nie zwracała uwagi na drobniejsze szczegóły w przyrodzie, nie oceniała ich piękności. Najzwyklejszy krajobraz wydał jej się pięknym jeżeli była wesoło usposobioną; w przeciwnym razie najpiękniejszy widok zganiła.

Tak samo o ludziach sądziła; pomijała wszystkie warunki piękności, nazywała pięknymi tych, którzy jej byli sympatyczni, inni byli stanowczo w jej oczach brzydkimi.

Dodam jeszcze do tych uwag i tę, że niepojętem było dla mnie, że osoba tak szerokiego umysłu żadnego poczucia dla sztuk pięknych nie miała. Przebywając tak długo w Paryżu nie zwiedziła nigdy Luwru, nie zajmowało jej malarstwo, ani rzeźbiarstwo, ani architektura, ani wyroby jakiejkolwiej gałęzi sztuki; wszystko było jej obojętne.

Zamierzaliśmy udać się z Telemarku do Jäder, aby Kiellanda odwiedzić. Kowalewską jednak, pomimo, że zawsze o podróży po Norwegii marzyła i pragnęła poznać Kiellanda, owładnęło inne zupełnie usposobienie, któremu oprzeć się nie mogła.

Postanowiła nagle, wśród rozpoczętej podróży do Christianii i do Szwecyi, powrócić; na wsi chwilowo osiąść i pracy się oddać. Przesiadła się na inny statek i do Christianii powróciła.

Nie sprzeciwiałam się jej, gdyż wiem z własnego doświadczenia, że jak nas chęć twórcza owładnie, oprzeć się jej nie zdołamy; wszystko inne choćby najważniejsze wobec tej siły ustąpić musi. Głos wewnętrzny silniejszy jest od prądu Niagary, silniejszy od piorunów i grzmotów.

Zauważyłam to często u Soni Kowalewskiej; wśród najbardziej ożywionej zabawy, na najprzyjemniejszych wycieczkach, wesoła, rozbawiona, nagle milkła, wzrok stawał się błędny, żegnała się pospiesznie z obecnymi i pomimo próśb i namów wracała do domu, do naukowej pracy.

Zachowałam kartkę od niej z tego samego roku, malującą dokładnie to jej usposobienie. Ułożyłyśmy wraz z kilkoma znajomymi zrobić wycieczkę poza miasto Sztokholm, kiedy w ostatniej chwili zmieniła zamiar.

„Obudziłam się zrana z chęcią zabawy, nagle ujrzałam w wyobraźni mojego dziadka, pedanta Niemca (astronoma), który wskazał wszystkie zadania, nad któremi przez czas wakacyj wielkanocnych pracować zamierzałam i gorżko mi wyrzucał, że czas marnuję. Jego ostre napomnienia przeraziły i spłoszyły moją babkę cygankę. Siedzę w rannym stroju przy moim stoliku, pogrążona w zadaniach matematycznych, bez najmniejszej ochoty do zabawy. Towarzystwo wasze jest tak liczne, że braku mojej osoby nie uczujecie i moją niegrzeczność wybaczyć zechcecie."

Umówiłyśmy się, że w końcu lata zjedziemy się w miejscowości, zamieszkałej przez Sonię i mego brata wraz z całą jego rodziną. Zaledwie się jednak z nimi złączyłam, odebrała Kowalewska telegram, wzywający ją do ciężko chorej siostry. Powróciła stamtąd w jesieni wraz ze swoją ośmioletnią córeczką i urządziła sobie własne swoje mieszkanie. Nie dbała wprawdzie o wygodę, obojętne jej było urządzenie domu i co jej do stołu podadzą, ale pragnęła być panią swego czasu i pracować bez żadnej przeszkody. Za pomocą przyjaciół wyszukała sobie mieszkanie i osobę, zajmującą się domem i córeczką, sprowadziła troszkę mebli z Rosyi z rodzicielskiego domu, przypominających wspaniałą pańską siedzibę. Była to wielka, do dużego salonu przeznaczona kanapa, sofka ze starożytnemi krzesłami, wszystko mahoniowe, bogato rzeźbione, czerwonym adamaszkiem pokryte. Te meble, mocno już uszkodzone, miała zamiar odnowić, nigdy jednak do tego nie przyszło. Kowalewska przywykła od młodości do zniszczonych mebli, przypomnijmy sobie, jak opisywała swój dziecinny pokój z podartą sofą i ścianami, staremi gazetami wyklejonemi. Wreszcie nie przywiązała się nigdy do Szwecyi, jak do swojej ojczyzny i dlatego na urządzenie domu znacznych wydatków czynić nie chciała. W dobrych wesołych chwilach ozdabiała salon własnoręczną swą pracą. Przysłała mi raz następującą kartkę:

„Wczoraj wieczór przekonałam się jasno, że słusznie utrzymują o tobie niektórzy, że spostrzeżesz to tylko, co rażąco brzydkie, a pięknych przedmiotów nie zauważysz. Każdą plamę, każdą dziurę w moich starych, szanownych meblach dojrzysz, a nie raczyłaś spojrzeć na piękne obicie mojego krzesła, choć się bardzo tego dopraszało."

(Ciąg dalszy nastąpi).

dach Antylskich w pobliżu wyspy św. Tomasza. Na drugi dzień po tej pierwszej wiadomości, doniósł biuletyn meteorologiczny o wzburzeniu atmosfery, posuwającem się od wyspy św. Tomasza ku zachodowi. Trzeciego dnia donoszono, że burza, kierująca się pierwotnie ku zachodowi, a następnie ku południowi, zwróciła się nagle z drogi i biegła wprost w kierunku północnego wybrzeża. Jednem skrzydłem zawadziła o Brunszwik, gdzie panowała żółta febra, potem o Savannah i wyspy leżące między tem miastem a Charleston. Z nieba lały się strugi i obrywały chmury, jak z upustów niebieskich lała się woda na nieszczęsne wyspy, gdzie morze podniosło się o 12 stóp ponad swój maksymalny poziom.

Nie potrafiono nigdy, nawet w przybliżeniu obrachować strat, jakie ten cyklon wyrządził na wyspach. Skoro telegraf doniósł o cyklonie miejscom leżącym na wybrzeżach Ameryki, natychmiast wyjechały setki statków dla łowienia topielców. Ale mieszkańcy tych wysp, wstrząśnięci straszną klęską oddali się zupełnej rezygnacyi i ani nie prosili o ratunek, ani się nie skarżyli. Dopiero gdy po jakimś czasie do wybrzeży Ameryki zaczęło przypływać mnóstwo trupów, poznano jak straszne rozmiary miała katastrofa. Działy się podczas niej przerażające sceny. I tak pewna kobieta, której cyklon porwał chatę, schroniła się z pięciorgiem dzieci do wnętrza olbrzymiego drzewa. Ale cyklon wyrwał je z korzeniem, kręcąc niem jak maczugą. Troje dzieci porwała burza. Kobieta ocaliła resztę; nie rozpaczała, tylko uśmiechnięta, w gorzkiej rezygnacyi dziękowała Bogu za ocalenie dwojga najmłodszych. Inna pokazywała kamień osmolony w ogniu. Była to resztka domowego ogniska, przy którem żyło trzynaście osób — ani jedna nie ocalała!..

Barki rybackie ocaliły jakiegoś młodego mężczyznę, który przez 32 godzin trzymał się konarów drzewa, aż póki, straciwszy siły i przytomność, nie wpadł w wodę. Fala uniosła go o 20 mil angielskich od portu Beaufort, gdzie go wyłowiono i przywrócono do życia. W zatoki morskie, w zakątki rzek, trzciną zarosłe, niosła woda niezliczone trupy. A któż policzy, ilu nieszczęśliwych przytuliła do swych głębin niezmierzona toń oceanu?

Mieszkańcy wysp, przeważnie murzyni, śpieszyli się z chowaniem swych umarłych. Ale w pośpiechu i w nagłej potrzebie wywiązywali się źle z pobożnego obowiązku. Wśród ich zabobonów jest przysłowie:

Umarłeś przy wodzie,
Leż przy wodzie!

Chowali więc topielców jak najbliżej morza, ale powracające silniejsze fale morskie odkrywały murzyńskie zwłoki i wyrzucały je z ich piaszczystego grobu. Naturalnie wywiązywały się stąd choroby i gorączki. Chirurg, doktor Magruder, który z polecenia ministeryum marynarki odbywał podróż inspekcyjną po wyspach dla oznaczenia panujących tam stosunków sanitarnych, stwierdził u 2.542 chorych na 3.709 badanych febrę epidemiczną, wynikłą z wyziewów mefitycznych.

Późniejsze wykazy statystyczne obliczyły cyfrę osób, które cyklon pozbawił dachu i środków do życia, na 30 000 ludzi. Ale klęska ta nietylko ciężko zawisła nad teraźniejszością, grzebała ona również nadzieje przyszłości, bo wszystko było zniszczone: domy, okręty, zasiewy, a nadto trzeba było myśleć o ratowaniu tej całej ludności, wystawionej na pastwę głodowej śmierci. Dzieła miłosierdzia podjęło się Towarzystwo Czerwonego Krzyża, a istotnie dokazywało cudów energii i poświęcenia. Wszędzie zbierano składki, do których przystępywano z podpisami nieraz po kilkadziesiąt tysięcy. Jeden z nowojorskich dzienników, *World*, podpisał jako swój udział, wysłanie osobnego pociągu, napełnionego odzieżą i środkami żywności dla nieszczęśliwych mieszkańców wysp, nawiedzonych cyklonami.

KRONIKA.

Lwów 2 października.

Prezydent dr. Małachowski wyjechał wraz z pp. Michalskim, dr. Wł. Dulębą i radzcą Lukasem do Wiednia w sprawie akcyzy miejskiej.

Lwowską szkołę kadetów poświęcili wczoraj uroczyście ks. biskup Weber i ks. mitrat Bielecki, w obecności p. namiestnika i innych reprezentantów władz cywilnych. W czasie cichej mszy polowej dano przepisaną liczbę salw karabinowych. Następnie komendant szkoły, major Schmidt, po stosownem przemówieniu ogłosił szkołę kadecką za otwartą. Liczy ona obecnie przeszło 130 wychowanków, z których 30 jest nowozaciężnych, a reszta przydzielona z innych szkół kadeckich.

Towarzystwo „Teatru miłośników sceny“ dało wczoraj w sali „Sokoła“ pierwsze, inauguracyjne przedstawienie, z którego czysty dochód przeznaczono na gimnazyum polskie w Cieszynie. Amatorowie dokonali bardzo szczęśliwie wyboru sztuki, dali bowiem doskonałą, werwą i humorem tryskającą trzyaktową komedyę Bałuckiego „Nowy dziennik“, a grali tak, jak rutynowani, zawodowi artyści, nawet o tyle lepiej, że wyuczyli się ról znakomicie, więc nie potrzebowali się oglądać na suflera. Znać było, że każdy szczegół gry był doskonale obmyślany i opracowany. Jeżeli dalsze przedstawienia będą tak udatne jak pierwsze, to spodziewać się należy, że Towarzystwo będzie miało doskonałe powodzenie i że dość grosza przysporzy na dobre cele — co jest poniekąd głównem jego zadaniem. Publiczność, która wczoraj szczelnie wypełniła salę „Sokoła“ bawiła się wybornie i oklaskiwała amatorów szczerze, a nie z kurtuazyi, jak to zwykle na amatorskich przedstawieniach bywa.

Teofil Sawczyński vel Sawczak stanął dzisiaj w małej sali rozpraw przed sędziami przysięgłymi oskarżony o cały szereg szalbierstw. Jest to człowiek lat 25, były dyetaryusz namiestnictwa. Akt oskarżenia zarzuca mu, że wyłudził oszukańczo od trzynastu osób rozmaite kwoty pieniężne tytułem chwilowej pożyczki, a na zastaw — gdy miał do czynienia z przezornymi — dawał fałszywe książeczki pensyjne; nadto uciekał się także do fałszowania podpisów na wekslach. Poszkodowanymi są przeważnie ludzie z najniższych sfer, jako to: służące, woźni urzędowi i bankowi, jakiś cieśla, którego synowi Sawczyński przyrzekał wyrobić posadę itd. Oskarżony wyłudził nadto od pewnej wdowy 700 złr., przyrzekając, że się z nią ożeni, ale ożenił się z kim innym. Prowadził życie hulaszcze, wydawał się za człowieka zamożnego, a biedakom, od których wydobywał pieniądze, prawił, że jest ich krewnym. Fatalnym dla Sawczyńskiego krokiem, który zaprowadził go do aresztu śledczego było to, że zeskontował u dr. Piątkowskiego weksel na 600 złr., opatrzony podpisem sfałszowanym ojca oskarżonego.

Konkursa rozpisują: Wydział krajowy na dwa stypendya z fundacyi ś. p. Sabiny z Pawlikowskich Krzelińskiej po 150 zł. dla ubogich uczenic pochodzen a szlacheckiego, uczęszczających do publicznych zakładów naukowych w Galicyi; na stypendyum z fundacyi im. Jezienickich w kwocie 300 zł. lub na dwa po 150 zł dla uczniów szkół publicznych średnich lub wyższych, krewnych śp. ks. Marka Jezienickiego, rz. kat. proboszcza w Chorostkowie; oraz na stypendyum z fundacyi arcyksięcia Rudolfa w kwocie 140 zł. dla uczniów szkół realnych, przedewszystkiem dla synów mieszkańców powiatu przemyskiego. — Rada szkolna krajowa na posadę nauczycieli muzyki i śpiewu w charakterze nauczycieli szkoły ćwiczeń w seminaryach nauczycielskich męskich w Sokalu i Stanisławowie. Termin do 30 października. — Wydział krajowy na stypendyum z fundacyi śp. Ludwiki Niezabitowskiej w kwocie 210 zł. dla ubogich młodzieńców pochodzenia szlacheckiego, uczni szkół średnich lub wyższych w kraju. Termin do 15 listopada. — Rada szkolna krajowa na posady nauczycieli religii rzymsko-i grecko-katolickiego obrządku w seminaryum nauczycielskiem męskiem w Sokalu. Termin do 30 bm.

Majątek p. Rutowskiego, Grudna w powiecie pilzneńskim, sprzedany został tymi dniami na publicznej licytacyi. Kupiła go p. Witoldowa Lewicka, żona posła i kolegi Rutowskiego tak z Rady państwa, jak z redakcyi *Słowa Polskiego*, za 42.600 złr. Z tej kwoty otrzyma gal. Kasa oszczędności 6 do 8 tysięcy złr. na poczet swoich do p. Rutowskiego pretensyi, reszta zaś przypadnie Bankowi krajowemu.

Termin sądowy dla p. Rutowskiego w sprawie prośby gal. Kasy oszczędności o otworzenie do jego majątku konkursu, naznaczony został na środę, dnia 4 bm.

Otrzymujemy następujące pismo: Wielmożny Panie Redaktorze! Odnośnie do tego ustępu aktu oskarżenia w sprawie galicyjskiej Kasy oszczędności, w którym jest mowa o kredycie w sumie 43.940 złr. udzielonym mnie i mojemu wspólnikowi dr. Bandrowskiemu, winienem do wiadomości publicznej podać, że w międzyczasie powyższy dług w części gotówką pokryłem, w części przekazami subwencyi krajowej i miejskiej zabezpieczyłem, a na resztę w sumie 17.940 złr. dałem poręczyciela, którego obecny zarząd galic. Kasy oszczędności uznał za zupełnie pewnego płatnika.

Szczegóły te wykazujące po nad wszelką wątpliwość, że z długu mojego ani jeden cent gal. Kasie oszczędności nie przepadnie, stwierdzone będą w toku rozprawy. — Wobec powyższego stanu rzeczy zwrot reszty długu mego w gal. Kasie oszczędności z nowym teatrem nic wspólnego mieć nie może.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku
Ludwik Heller.

Dopisek Redakcyi. Jest to jedna i jedyna pozycya z uznanych przez c. k. prokuratoryę za wątpliwe, która została tak uczciwie i po obywatelsku bez presyi wypłacona i w tak szybkiem tempie. P. dyrektor Heller złożył tem dowód, że nie robił długu lekkomyślnie i że swoim zobowiązaniom zadość uczyni.

Pożar Lubaczowa, o którym donieśliśmy w sobotę, pochłonął ogółem około 360 budynków, między innemi budynek ratuszowy, cerkiew ruską i obie szkoły wydziałowe: męską i żeńską. Szkodę obliczają mniej więcej na milion guldenów.

Lwowski tramwaj elektryczny kursować będzie w czasie od 16 października b. r. do 15go kwietnia — jak zwykle — według zimowego rozkładu jazdy.

Aresztowanie bankruta. Na doniesienie jednego z wierzycieli aresztowano w sobotę w Krakowie Saula Ringera, eskontera i handlarza drzewa. Popadł on w niewypłacalność. Pasywa jego wynoszą około 200.000 zł., na co w połowie znajduje się pokrycie.

W Czytelni katolickiej odbędzie się we środę dnia 4 bm. pogadanka na temat: „Antysemityzm a asemityzm“. Mówić będzie prof. Thullie.

Krajowa komisya przemysłowa odbyła wczoraj pod przewodnictwem marszałka kraju posiedzenie, na którem uchwalono założyć szkołę koszykarską w Sielcu, udzielić na rozmaite cele przemysłowe pożyczki w ogólnej kwocie 57.800 zł., a 480 zł. zasiłków bezzwrotnych młodym rzemieślnikom, wykształconym w krajowych szkołach przemysłowych, wreszcie uchwalono budżet na rok 1900 w kwocie 214.168 zł., w czem między innemi mieści się wydatek 3.000 zł. na zasiłki dla osób fachowych na zwiedzenie wystawy paryskiej.

Tajemnicze zniknięcie. 11-letnia Józefa Sikora, córka konduktora kolejowego, zamieszkałego w Podgórzu, przebywała u krewnej swojej, pani Adamskiej w Krakowie i dnia 23 z. m. wyszedłszy na miasto, więcej nie wróciła. Początkowo pani Adamska sądziła, że pupilka jej udała się do rodziców na Podgórze, lecz w końcu okazało się, że dziewczynka zniknęła gdzieś bez śladu.

Bójka na wiecu. W Krościenku dnia 25 zm. podczas wiecu ks. Stojałowskiego pobili się i pokrwawili zwolennicy jego z przeciwnikami. Sprawa oprze się o sąd.

Zniknięcie dziewczyny. *Echo przemyskie* donosi: Marya Dobkowska, która służyła u Moryca Sacka na Lipowicy w Przemyślu, zniknęła jeszcze w lipcu niewiadomo w jaki sposób. Moryc Sack tymi dniami dopiero przyniósł jej rzeczy do matki jej, Rozalii Dobkowskiej, oświadczając, że Marya wyszedłszy pewnego dnia z domu, więcej nie wróciła. Ponieważ obowiązkiem Sacka było natychmiast donieść o zaginięciu Maryi matce albo policyi, a on uczynił to dopiero po dwóch miesiącach, przeto wdrożono przeciw Sackowi dochodzenie.

Polacy w Ameryce. Dnia 16 bm. odbędzie się w Grand Rapids Mick 13-ty sejm Związku narodowego polskiego, a nazajutrz w Buffalo zjazd rzymsko-katolickich Polaków, zaś w Wilkesbarre sejm unii rzymskich katolików. W zebraniach tych weźmie udział T. T. Jeż, który już wyjechał do Ameryki.

Morderstwo w Polnej. *Głos Narodu* donosi, że do Kutnej Hory przywieziono Wassermanna wskazanego przez Hilsnera, jako jednego ze swych wspólników. Wassermann przyznał się wobec konwojującego go rewizora policyjnego Hrileka, że był w Polnej w czasie zamordowania Hruzówny, ale przeczy, jakoby brał udział w morderstwie, więc Hilsnera ciągle przeklina, jednakże z pewną rezygnacyą oświadczył Hrilekowi, że wie, co go czeka.

Pożytek z hakatystów. O ciekawem zdarzeniu opowiadają pisma poznańskie. Oto obywatel W., eks-Polak, zniemczony od czterech pokoleń, pan wielkich włości w Poznańskiem, syn rodziców, nie umiejących ani jednego słowa po polsku, poczuł nagle pod obuchem hakatyzmu, szalejącego wokoło, że tam gdzieś w popiołach serca tli się iskierka polskiego czucia. Ta iskra strzeliła niebawem jasnym płomieniem. Pan W. zaczął z zapałem kształcić się w języku polskim, rozpędził na cztery wiatry niemieckich suflerów, usiłujących wciągnąć go do agitacyi hakatystycznej, pracą i mieniem jął popierać instytucye i stowarzyszenia polskie, a co najdziwniejsze, narzeczoną swoją, Niemkę, przywiózł do zakładu hr. Platerowej w Chyliczkach, aby tam zapoznała się z mową polską. Tak wicher hakatyzmu, który ma zdmuchnąć światło myśli polskiej, roznieca iskry, utajone w popiele, słabych krzepi, uśpionych budzi, zgaszonych zapala i wnuków zniemczałych powraca na łono tego społeczeństwa, któremu służyli dziadowie.

A nie jest to oderwany wypadek. Oto np. jeden z bogatych przemysłowców szlązkich, którego przodkowie dawno się zniemczyli, przysłał syna swego do Warszawy z wyraźnem życzeniem, aby nauczono go po polsku mówić i myśleć. „Ot! — mówił łamaną polszczyzną — gdy oni tak dokuczają Polakom, to ja sobie przypomniałem, że nazwisko moje to także ma *polnischen Klang* i że to *nieladnie* „pod jedną *deką*“ spać z takimi, co spokojnych ludzi *bedrykują*. To ja *früher welowałem konserwatiw*, ale teraz to ja *sztymowałem* za Polakiem. Ja sobie myślał, co ich jest wiele i co oni mają *Armee* i *Regierung*, a nas jest malo. Więc ja postanowil być takim, jak *meine Vorfahren* (przodkowie). Wolę być *Wasserpolak*, jak hakatysta, a syn mój *soll ein richtiger Pole werden* (ma zostać prawdziwym Polakiem)“.

Ten Szlązak serdeczny powierzył swego syna jednemu z kupców warszawskich, który zaopiekował się losem tegoż gorliwie i umieścił go w wielkim składzie win.

Trzeci, najgłośniejszy przykład takiej repolonizacyi, to redaktor *Gazety ludowej* wydawanej w Ełku na Mazurach. Pan Neuhaus wyszperał, że przodkowie jego nosili nazwisko Nowodworskich, więc podpisuje się teraz Neuhaus-Nowodworski. Tęsknota za opuszczonym przez dziadów narodem zbudziła się w nim już na ławie szkolnej i choć tam rodzice i ciotki starali się perswazyą, groźbą i rózgą wytępić tę „polską chorobę“, młodziutki Neuhaus-Nowodworski uczył się ukradkiem języka polskiego, a po ukończeniu uniwersytetu w Królewcu udał się do Poznania, aby tu stanowczej repolonizacyi dokonać. W krótkim czasie nabył takiej wprawy w polskim języku, że ogłaszał doskonałe artykuły w pismach poznańskich i warszawskich, a w ubiegłym roku objął redakcyę *Gazety ludowej* na Mazurach i poprowadził ją świetnie. Wracają wnuki zniemczonych ojców, wracają!

Składki na kaplicę polską w Padwie. Otrzymujemy następujące pismo:

„Szanowna Redakcyo! W przesłanym wykazie ofiar na kaplicę polską w Padwie, umieszczonym w nr. 217 *Przeglądu*, przez omyłkę zapomniałem uwidocznić ofiary w kwocie 9 zł., złożonej w Redakcyi *Przeglądu*. Upraszam tedy Szanowną Redakcyę o uzupełnienie owego wykazu.

Z wysokim szacunkiem i wdzięcznością
Ks. Jan Warchał.

Padwa, 26 września 1899“.

Staszyc w Tatrach. Dr. St. Eliasz Radzikowski w „Przeglądzie Zakopiańskim“ przypomina, że pierwszym z Polaków, który zwiedzał Tatry w celach naukowych był Stanisław Staszyc. Człowiek niezwykły, co nie na jednem polu świadomej pracy narodowej pozostawił trwałe ślady, zajmował się poważnie geologią, będącą jeszcze wówczas w kolebce. Na zasadzie głębokich badań, wielkiego wykształcenia naukowego i dalekich podróży zamierzył on dać obraz geologii układu karpackiego, a wespół z nim całej Polski. Dziełem pracy była księga „O ziemiorodztwie Karpatów i innych gór i równin Polski, w Warszawie roku 1815“. Praca niezwykła, a współcześnie najlepsza już nietylko u nas, gdzie nie było ani jednego badacza na tem polu, ale wogóle w nauce powszechnej. Łamać się w niej musiał Staszyc — mówi dr. R. — z wielkiemi trudnościami. Nauka młoda nie miała jeszcze terminologii polskiej, trzeba ją było stwarzać, a niejedną nazwę wprowadzoną przez Staszyca zatrzymała stale dzisiejsza geologia polska. Stan nauki tej wogóle nie pozwalał jeszcze na wyprowadzenie pewnych wniosków, na każdej jednak stronicy dzieła znaleść można myśli niezmiernie głębokie. Spostrzeżenia Staszyca są dziwnie trafne. Wiele z nich można dzisiaj powtórzyć słowo w słowo, nic z nich nie ujmując i nic nie dodając. Jest to właściwością umysłów prawdziwie wielkich, że dzieła ich przetrwają pokolenia i nie tracą swej świeżości. Poglądy nauki i tłómaczenie zjawisk oczywiście ulegają ciągłym zmianom, te więc odpaść muszą, ale spostrzeżenia zostają jako trwała własność nauki. Zwiedzanie Tatr na początku obecnego stulecia nie było łatwem zadaniem. Wogóle ważenie się nań już dowodzi wielkiego zapału. Wszędzie trzeba było łamać pierwsze lody, kraj ten niedawno przeszedł ciężkie koleje, nastały czasy austryackie. Tatry roiły się od rozbójników, dostęp do głębi gór nie był wcale łatwy. A pomimo to Staszyc zwiedza nietylko powierzchownie okolice Tatr lub przystępniejsze doliny, ale wdziera się na najwyższe szczyty. Zadanie to nielada, to nie wycieczka dzisiejsza z przewodnikami, z mapami, z opisami — to wyprawa w rodzaju przedsięwzięć alpejskich dla zdobycia niedostępnych szczytów. W roku 1804 w sierpniu wyszedł Staszyc na Szczyt Lodowy, a w następnym roku 1805 w sierpniu stanął na Krzywaniu i na Łomnicy. Oprócz opisów geologicznych skał dzieło Staszyca zawiera wiele zajmujących szczegółów o roślinach, o ludzie tatrzańskim, podaje nadzwyczaj prawdziwą charakterystykę naszych górali, która zadziwia, jak wówczas w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu mógł Staszyc wyrobić sobie zdanie trafne o tym ludzie. W „Ziemiorodztwie“ znajduje się też ustęp nawołujący młodzież polską do pracy nad poznaniem kraju ojczystego.

Inowacya w grafologii. P. Bolesław Matuszewski wydał w języku francuskim broszurę p. t.: „*Une innovation en graphologie et dans l'expertise en écritures*“, w której wykazuje, że kinematograf może oddać w tym kierunku wielkie usługi, np. gdy chodzi o stwierdzenie autora rękopisu. Jeśli w takim razie zażądamy, by napisał powtórnie to samo, a jest w istocie autorem, siądzie i pisać będzie szybko, bez najmniejszego wahania; komu zaś chodzi o podanie się za autora rękopisu cudzego, lub ukrycie autorstwa własnego, ten pisać będzie znacznie wolniej, starannie, bądź chcąc dokładnie naśladować wzór, lub też ukryć usiłując zatrzeć podobieństwo. Otóż kinematograf, czyli żywa fotografia, uchwyci najdrobniejsze szczegóły i z największą dokładnością przedstawi sposób pisania, tak, że przy ekspertyzie stanie się ważnym środkiem pomocniczym. Dla grafologów również odegrać może ważną rolę, — odda tak samo wiernie i dokładnie pismo i sposób pisania i ułatwi wyciąganie wniosków grafologicznych.

Zmarli. W Polczyńcach w pow. zbaraskim ks. Wiktor Wełyczański, gr.-kat. proboszcz, lat 72 życia a 44 kapłaństwa.— W Wiedniu Marya Gniewoszowa, żona b. szefa sekcyjnego, p. Edwarda Gniewosza. — W Staremmieście Michał Torski, starszy komisarz powiatowy, lat 45. Zwłoki pochowano we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano +14, w poł. +18 R. Bar. 768. Podnosi się. Pogoda.

Za kulisami.

— I cóż, Mimi, jak ci się podoba życie przy balecie?

— Ach, bardzo! tylko to tańcowanie jest głupie i nudne.

(Humorysta).

Z motywów kancelaryjnych.

Atrament, choć smoli, przyda się w potrzebie,
Bylebyś nim nie czernił innych, tylko siebie.

Repertuar teatru hr. Skarbka: Dziś w poniedziałek „Miejsca kobietom“, krotochwila Hennequina i Valabregue. We wtorek „Orfeusz w piekle“. We środę po raz pierwszy „Córki pana Dupont“, komedya w 4 aktach Maurycego Brieux. We czwartek (wznowienie) „Donna Juanita“, opera komiczna F. Suppego. W piątek „Córki pana Dupont“. W sobotę po południu „Kupiec wenecki“, wieczorem „Donna Juanita“.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 30 września.

(Z.). Bilans obrotów giełdowych ubiegłego tygodnia jest na całej linii ujemny. Różnice między dzisiejszemi ostatecznemi notowaniami a notowaniami z ubiegłej soboty, są w niektórych walorach bardzo znaczne. Węgierskie kredyty straciły na kursie 20 złr., austryackie 8 złr., länderbanki 6 złr., uniony 5 złr., bankvereiny 4 złr., alpiny 10 złr., praskie akcye żelazne 40 złr., Rima-Murany 10 złr., akcye Towarzystwa żeglugi na Dunaju 25, akcye kolei północnej 3%. Z rent najdotkliwiej spadła austryacka koronowa, bo o 65 centów, spadek w innych kategoryach rent wynosi od 15 do 35 centów. Wiele okoliczności złożyło się na to powszechne osłabienie tendencyi naszego targu. Przedewszystkiem niekorzystny wpływ wszystkich giełd zagranicznych, a zwłaszcza londyńskiej i paryskiej, gdzie skutkiem niebezpieczeństwa wybuchu wojny między Anglią a Transwaalem ponieśli spekulanci olbrzymie straty w afrykańskich akcyach kopalnianych. Także ewentualność dalszego podwyższenia stopy procentowej przez wszystkie wielkie banki europejskie zdaje się być nieuniknioną.

W Londynie podniósł się eskont prywatny na 4%, a więc jest o $^{1}/_{2}$% wyższy od bankowego, nadto w ciągu dwóch dni ostatnich ubyło ze skarbca banku angielskiego złota za 750.000 funtów szterlingów, wobec czego zdaje się, że dyrekcya tego banku nie będzie z podwyższeniem stopy procentowej czekała aż do czwartku, lecz już w najbliższy poniedziałek podwyższy ją. Berliński bank państwowy niezawodnie także w poniedziałek podwyższy eskont, wynoszący obecnie tyle co w Austryi, t. j. 5%. Ultimo września zaabsorbowało bowiem wszystkie rozporządzalne fundusze bankowe tak, że cyrkulacya opodatkowanych not dosięga obecnie w Niemczech sumy 300 milionów marek. Banki, bawarski i saski już wyprzedziły centralny bank państwowy i podwyższyły stopę procentową na $5^{1}/_{2}$% od eskontu weksli, a na $6^{1}/_{2}$ od lombardu papierów wartościowych. Te okoliczności sprawiły, że i na naszym targu prolongata wrześniowa odbywa się pod niesłychanie uciążliwymi warunkami, którym słabsze firmy sprostać nie mogą. Na osłabienie tendencyi naszej giełdy wpłynęło także niemało samobójstwo jednego z tutejszych kulisyerów. Pozostawił on nierozwikłane zobowiązania, obejmujące dziesięć tysięcy rozmaitych akcyi, które sprzedawano w drodze egzekucyjnej. — Wreszcie z Pesztu napływało dużo materyału wystawionego na sprzedaż, co także wywierało nacisk na kursa. — Dyspozycya giełdy jest obecnie tak fatalna, że nawet montaniści uznali za właściwe zawiesić chwilowo spekulacyę zwyżkową w walorach żelaznych.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 363·65, węgierskie 369.25, Anglobanki 143·25, Uniony 297·25, Bankvereiny 268·50, Länderbanki 234·25, Ludwiki 210·20. Czerniowieckie 284·—, Elbethale 250·50. Renta papierowa 99·80, srebrna 99·80, austryacka złota 117·75, austr. renta wal. kor. 99·70, węgierska złota 116·40, węgierska renta wal. kor. 94·85, dukat 5·70, 20 frankówka 9·57—, marki $11·77^{1}/_{2}$, ruble $1·27^{1}/_{2}$.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

Wiedeń 1 października. Po śniadaniu u Cesarza, w którem wzięli udział uczestnicy łowów dworskich, między innymi ks. bawarski Leopold, arcyks. Franciszek Salvator, minister wojny Krieghammer i szef sztabu jeneralnego bar. Beck, całe to towarzystwo z 13 osób złożone wyjechało dziś o godz. $^{1}/_{2}$3 po południu pociągiem dworskim do Mürzsteg. Cesarz uda się tam prawdopodobnie dnia 3 bm.

Belgrad 1 października. Archirej (biskup prawosławny) Miłosz Bariaktarowicz skazany został przez sąd doraźny na 15 lat więzienia za zdradę stanu.

Wiedeń 2 października. Dzisiaj odbędzie się w tutejszej papieskiej nuncyaturze proces informacyjny nowego arcybiskupa prazkiego ks. barona Skrbenskiego, poczem nowy książę Kościoła złoży wobec nuncyusza papieskiego uroczystą przysięgę wierności i posłuszeństwa dla Papieża.

Budapeszt 2 października. Dzienniki donoszą, że w dniach najbliższych minister skarbu Lukacs wygłosi exposé finansowe i przy tej sposobności da pogląd na projektowaną reformę bezpośrednich podatków. Stronnictwo liberalne wyznaczyło już członków do deputacyi kwotowej. Mianowicie wejdą do niej hr. Albert Apponyi, hr. Albin Csaky, dr. Max Falk, Ferdynand Horanszky, Ludwik Lang, dr. Aleksander Matlekowits, August Pulsky, Koloman Tisza i Mikołaj Tomaszic. Jeden mandat zarezerwowano dla stronnictwa ludowego.

Berlin 2 października. Zmarł tutaj nagle sławny ornitolog dr. Karol Rus.

Bremerhawen 2 października. Zatonęła parowa łódź rybacka „Karl“, przyczem cała załoga, z 10-ciu ludzi złożona, peszła na dno morza.

Paryż 2 października. Dzienniki dowiadują się, że rząd postanowił zwołać Izbę deputowanych na 7 listopada.

Manchester 2 października. Książę Devonshire wygłosił tu mowę w której wskazując na zatarg z Transwaalem powiedział, że położenie jest takie, iż mało jest nadziei pokojowego załatwienia sporu, chociaż być może, że ostatecznie w Transvaalu weźmie przewagę umiarkowanie i rozwaga. W najbliższym czasie zbierze się parlament aby uchwalić wydatki na przygotowania wojenne.

D'Urban 2 października. (Główne miasto kolonii angielskiej Victoria w Natalu). Koło Sandspruit zgromadzonych jest 4.000 Boerów. Do Boshof w pobliżu Kimberley oraz ku północnozachodniej prawicy Natalu Boerowie ciągną wielkiemi tłumami. Korpus irlandzki w pierwszych dniach przyszłego tygodnia wyruszy na granicę, aby wesprzeć Boerów.

Konstantynopol 2 października. Według urzędowych sprawozdań w czasie ostatniego trzęsienia ziemi w wilejacie Adin runęło 12.832 domów, 783 osób straciło życie, a 657 odniosło skaleczenia.

Nowy Jork 2 października. Z Panamy donoszą, że parowiec „Montoya“ spalił się na rzece Magdalenie. Z 50 podróżnych uratowano tylko 20.

W Key-West zaszło 54 nowych wypadków żółtej febry.

Wiedeń 2 października. Minister handlu bar. Di Pauli pożegnał się dziś pisemnie ze swoimi urzędnikami, i wyraził im podziękowanie za gorliwe poparcie z ich strony, oraz nadzieję, iż jego plany na przyszłość, które rozpoczął w czyn wprowadzać, jego działalność i to co stworzył, nie pójdzie w zapomnienie.

Paryż 2 października. *Figaro* donosi, iż u królowej Wilhelminy holenderskiej, podjęto kroki, w celu uzyskania jej interwencyi dla utrzymania pokoju między Anglią a Transwaalem.

Petersburg 2 października. Austryacko-węgierski ambasador bar. Aehrenthal wyjechał przez Berlin do Czech.

Wiedeń 2 października. Przewodniczący komitetu wykonawczego prawicy poseł Jaworski zwołał na 5 bm. konferencyę przewodniczących klubów większości i ich zastępców.

Wiedeń 2 października. Przy ciągnieniu losów państwowych z r. 1854, padła główna wygrana 30.000 zł. na S. 1427 Nr. 10; wygrana 5000 zł. na S. 2145 Nr. 44; po 2.000 zł. wygrały: S. 1294 Nr. 50; S. 1879 Nr. 34; S. 1949 Nr. 4; S. 2642 Nr. 46; S. 3147 Nr. 7.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 2 października. Br. Błażowski z Nowosiółki. J. Mierzeński z Dubowic. M. Wernert z Paryża. W. Samosch z Wiednia. JO. ks. Puzyna z Narola. St. Białoskórski z Staj. M. Anhauch z Czerniowiec. Por. Archen z Żółkwi. J. Krimmer z Rosyi. J. Niewiadomski z Przemyśla. Dr. M. Fockszaner z Czerniowiec. M. Winnicki z Turad. F. Fibich z Żółkwi.

HOTEL IMPERIAL
(pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia)
Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 2 października. Hr. J. Męciński z Partynia. Hr. S. Poniński, Walewski i H. Gieczewski z Wołynia. K. Wisłocki z Worwoliniec. O. Blumen z Wiednia. Dr. R. Als i dr. Jabłoński z Rzeszowa. Hr. S. Wiśniewski z Krystynopola. Hr. W. Zamoyski z Zakopanego. J. Katay z Tryestu. Dr. K. Rakowski z Król. Polskiego. M. Landau z Wiednia. W. Kamarzewski z Petersburga. C. Wankowicz z Rosyi. B. Noifech z Krzemieńca.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń 2 października. (Giełda zbożowa). Pszenica na jesień 8·54—8·55, na wiosnę 8·89—8·90; żyto na jesień 7·06—7·07, na wiosnę 7·42—7·43; kukurudza na wrzesień-październik 5·50—5·52; na maj-czerwiec 1900 r. 5·33—5·34; owies na jesień 5·22—5·24, na wiosnę 5·67—5·68; rzepak na wrzesień-październik 12·60—12·70, na styczeń-luty 1900 r. 00·00; olej rzpakowy na styczeń-kwiecień 32—33. Tendencya: silna. Pogoda: piękna.

Budapeszt 2 października. (Giełda zbożowa). Pszenica na październik 8·39—8·40, na kwiecień 1900 r. 8.79—8·80; żyto na październik 6·70—6·72, na kwiecień 1900 r. 7·11—7·13; owies na październik 4·87—4·89, na kwiecień 1900 r. 5·38—5·39; kukurudza na na maj r. 1900 5·04—5·05, rzepak na sierpień 1900 r. 11·75—00·00. Oferty na pszenicę dostateczne. Chęć kupna dobra. Tendencya: silna Pogoda: pięknie, ciepło.

Lwów 2 października. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210·50 do 212·50 Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł w. a. 283·00 do 286·00. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 360.— do 370 —. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. —·— do —·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250·— do 255·—. Banku dla handlu i przemysłu po 200 zł. 197·00 do 200·00

Listy zastawne za 100 złr. Banku hipot. galic. 5 proc. losy w 50 lat. z 10 proc. prem. 110·— do 110·70 4 i pół proc. los. w 50 lat 99·50 do 100·20, 4 proc. los w 60 lat 96·00 do 96·70. Banku kraj. 4 i pół proc los w 61 lat 99.60 do 100·30. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·— do 97·70 — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emizya) 96·00 do 96·70, 4 proc. los w 41 i pół latach 96·00 do 96·70, 4 proc. los w 56 lat 92.60 do 93·30,

Obligi za 100 zł., Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 96·90 do 97·60. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc 102.50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·00 do 000·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. 6 proc. 103·00 do —·—. 4 proc. z 1893 r. 96.00 do 96·70, 4 proc. po 200 koron z 1898 roku 92·80 do 93·50.

Monety. Dukat cesarski 5·67 do 5·77. Napoleondor 9·53 do 9·63. Rubel rosyjski papierowy 127·20 do 128·20. 100 marek niemieckich 58·75 do 59·15.

82)

OPĘTANI

POWIEŚĆ

MATYLDY SERAO.

(Ciąg dalszy).

Na twarz doktora uderzyła fala krwi i oczy jego zaszły łzami. Nachylił się i zanim starzy zdołali przeszkodzić, ucałował ich grube, spracowane ręce, poczem wyszedł, nie powiedziawszy nawet jednego słowa.

Tego wieczora doktor nie wrócił do oberży, ale starzy nie zwracali już uwagi na jego nieobecność.

Nie pokazał się i dnia następnego.

Czekali do wieczora, lecz gdy nie pokazał się, zjedli na obiad kawałek chleba i dwie znalezione w pokoju pomarańcze.

Doktor Trifari nie przybył i na drugą noc i dopiero około południa dnia trzeciego przyniesiono z poczty list, zaadresowany do pana Jana Trifari, w albergo di Villa Borghese.

Byli oni wieśniakami ciemnymi, mieli umysły ciasne i serca proste, byli milczącymi i niedaleko widzącymi, ale gdy spostrzegli pismo syna, zaczęli drżeć oboje.

Stary nałożył okulary i głosem wzburzonym, powstrzymując łzy, z trudnością odsylabizował list, w którym syn, przed wyjazdem do Ameryki, serdecznie żegnał się z nimi...

Dwa razy, przywykły do zmian losu, służący hotelowy wchodził do pokoju i tonem szyderczym zapytywał, czy nie chcą jeść, lecz oni nie widzieli go nawet i nie słyszeli jego słów.

Gdy o godzinie szóstej don Crescenzo, zapukawszy i nie otrzymawszy odpowiedzi, wszedł do pokoju, zastał ich siedzących przy balkonie w ciemności i ciszy.

— Czy doktor w domu?

— Nie ma — odrzekł stary wieśniak.

— Wyszedł?

— Tak.

— Dawno?

— Bardzo dawno — mruknął wieśniak.

— Kiedy powróci? — gniewnie zapytał wzburzony don Crescenzo.

— Niewiadomo, niewiadomo.

— Jesteś pan jego ojcem, więc powinieneś wiedzieć.

— Nie powiedział mi.

— Więc dokąd poszedł ten niegodziwiec?

— Odjechał do Ameryki, do Bonaria.

— Jezus, Marya! — zawołał don Crescenzo, padając na krzesło.

Umilkli.

Byli oboje tak złamani, że don Crescenzo przeraził się, spotykając coraz nowe nieszczęścia, jeszcze większe niż jego.

Wszelako chwytał się nawet źdźbła i pragnął wiedzieć wszystko.

Doświadczał dzikiej rozkoszy człowieka upajającego się własnem cierpieniem. Więc i ten wymknął mu się i należne od niego pieniądze stracone nazawsze...

— Za co odjechał, skoro nie miał pieniędzy? — zapytał z goryczą.

— Czy pan jesteś jego przyjacielem?

— Jestem przyjacielem.

— Rzeczywiście?

— Mówię panu, że jestem jego przyjacielem.

— Więc przeczytaj pan jego list, a będziesz wiedział wszystko.

Don Crescenzo odczytał list, w którym lekarz, pogrążony w długach, pożerany swą namiętnością, nie wiedząc co z sobą począć, żegnał rodziców przed wyjazdem do Ameryki, gdzie postanowił szukać szczęścia.

Z czterystu lirów wziął trzysta pięćdziesiąt na koszta podróży parostatkiem i na kilka pierwszych dni pobytu w Buenos-Ayres.

Przyznał się do ruiny własnej i rodziców, przeklinał grę i samego siebie, oraz swój los.

Odsyłał kilka lirów biednym rodzicom z prośbą, by powrócili do swych stron rodzinnych i radzili sobie jak można, dopóki nie przyszle im zasiłku z Buenos-Ayres.

Przysłane pieniądze wystarczały zaledwie na dwa bilety trzeciej klasy, ale na życie brakło. Lecz on nie zapomni o nich.

Prosił ich na klęczkach, by przebaczyli mu i nie przeklinali.

Nie miał siły, ze względu na nich, pozbawić się życia, lecz błaga o przebaczenie i prosi, niech nie wysyłają za nędznym wychodźcą wiatyku przekleństwa...

List był pełen czułości i wściekłości, a zniewagi miotane na bogaczów, szlachtę i rząd, mieszały się z pokornemi prośbami o przebaczenie.

Don Crescenzo dwa razy odczytał ten list rozpaczliwy, złożył go machinalnie i spoglądał na starców, wyglądających jak gdyby mieli po sto lat życia, zgrzybiałych, pochylonych pracą, wiekiem i cierpieniami.

— Cóż będziecie teraz robili? — zapytał po cichu.

— Wrócimy w swoje strony, jutro, pierwszym pociągiem — odrzekł wieśniak.

— Odjedziemy — jęknęła staruszka, nie podnosząc głowy.

— A cóż tam poczniecie? — zapytał, pragnąc poznać całe ich nieszczęście.

— Będziemy chodzili na zarobek.

Spojrzał na nich ze zdumieniem. Oni, tak starzy, spracowani, złamani, gotowi byli wrócić do ciężkiej pracy na chleb, kopać ziemię drżącemi rękami i pochylać siwe głowy pod palącemi promieniami słońca.

Dotknięty tym ostatnim ciosem i widokiem takiego nieszczęścia, nie miał odwagi uczynić nawet wzmianki o długu ich syna i z całem współczuciem zapytał:

— Czy nie potrzebujecie czego?

— Nie, dziękujemy — odrzekli z giestem ludzi zrezygnowanych i od nikogo nie oczekujących pomocy.

— Nie traćcie nadziei.

— Dziękujemy.

Noc już zapadła, gdy don Crescenzo wyszedł na ulicę.

Przystanął na chwilę i zastanowił się, dokąd ma się udać.

Wreszcie przebył ulicę Toledo i zwrócił się ku kościołowi św. Michała, w pobliżu którego wznosił się wysoki i ciemny pałac Rossi, należący niegdyś do Cavalcantich.

Pod jego dachem mieszkali najważniejsi i najwątpliwsi jego dłużnicy, których umyślnie pozostawił sobie na wieczór, ażeby nie rozpoczynać dnia od złej wróżby.

Ale nie znalazłszy nigdzie pieniędzy, ulegając naturalnemu zwrotowi w umyśle każdego nieszczęśliwego, buntującego się przeciw losowi niesprawiedliwemu, i nigdy nie opuszczającej go nadziei, zaczął znowu wierzyć, że właśnie Cesare Fragala i margrabia Cavalcanti prędzej mogą mu dać pieniędzy, aniżeli kto inny.

Zaledwie przekroczył otworzone mu przez małą Agnesinę drzwi i przebył parę pustych pokojów, już pożałował swego postanowienia. Cesare, Luiza i Agnesina spożywali obiad, siedząc przy małym stoliku i każdy kawałek smażonej wątroby niosąc do ust z obawą, by nie zabrakło drugim; dziewczynka zwłaszcza, pomimo apetytu, każdy kąsek chleba uważnie mierzyła oczyma.

Cesare, z namarszczonemi brwiami i wyrazem twarzy, z której nazawsze zniknął uśmiech, smutnie spoglądał na stół; Luiza, ubrana w skromną sukienkę perkalikową, pogrążona była w myślach; Agnesina spokojnym wzrokiem patrzyła na gościa, jak gdyby wiedziała cel jego wizyty i cierpliwie oczekiwała męczeństwa.

Don Crescenzo nieśmiało wyjąkał:

— Cesarino, przyszedłem w tej sprawie...

Fala krwi uderzyła na twarz gospodarza domu, Luiza przestała jeść, zaś Agnesina spuściła oczy, jak gdyby cios spadł na jej głowę.

— Trudno mi będzie zaspokoić cię, Crescenzo; chyba nie wiesz, w jakiem położeniu jesteśmy...

— Wiem — odrzekł wzruszony gość — lecz moje położenie jest jeszcze gorsze.

— Nie sądzę — smutnie rzekł Fragala.

— Ocaliłeś przynajmniej honor, a ja... Cóż mam ci powiedzieć więcej?

I wyczerpany z sił, czując na sobie współczujący wzrok małej Agnesiny, Crescenzo rozpłakał się jak dziecko.

Słaby płomień lampy naftowej, kołysany lekkim powiewem wiatru wpadającego przez otwarte drzwi balkonu, ponurym blaskiem oświetlał smutną grupę, złożoną z ojca, matki i dziecka, z litością spoglądających na nieszczęśliwego wierzyciela.

— Luizo, czy nie możnaby było dać mu cokolwiek? — lękliwie szepnął Cesarino Fragala do ucha żony.

— Ile mu się należy?

— Pięćset lirów... Było więcej, lecz spłaciłem część...

— Czy i to dług z... gry? — zapytała Luiza chłodno.

— Tak.

— Co on mówił o honorze?

— Kredytował mi i jeżeli nie zapłaci, osadzą go w więzieniu.

— Czy ma dzieci?

— Ma.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Drukarnia narodowa Stanisław Maniecki i Spółka — Lwów, ul. Kopernika l. 9.